NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 5 sierpnia 1911. Nr. 31.

Olbrzymi pożar w Wiedniu.

(Treść na str. 2).



Nr. 31. „Nowości illustrowanych" zawiera: Wrzenie na Bałkanie. — Morskie kąpiele. — Nowy tryumf głośnego lotnika. — Prezydyum izby poselskiej. — Upały w Galicyi. — Kurs nauczycielski. — Kamienie „głodowe". — Wystawa graficzna w Zakopanem. — Niemcy i Francya a Marokko. — „Gwiazda" lwowska.

Olbrzymi pożar w Wiedniu.

(Do illustracyi tytułowej i zdjęć fotograficznych).

W czasie największych upałów i posuchy, wybuchł w ubiegłym tygodniu w nocy na piątek bardzo groźny pożar na dworcu kolei północnej w Wiedniu, mianowicie w magazynach drzewa firmy „Groll-Fürst". Łatwo zrozumieć zarówno, jak wielkie było niebezpieczeństwo dla całego magazynu kolejowego i najbliższej okolicy miasta wobec długiej posuchy i spiekoty, oraz jak wielki popłoch zapanował wśród mieszkańców tej części Wiednia, gdzie pożar wybuchł.

Płomienie objęły bardzo znaczną przestrzeń a że palił się materyał wysuszony i wogóle łatwo palny, więc ogień buchał wysoko i łuna oświetliła znaczną część miasta. Na pierwszą wieść o wybuchu pożaru pospieszyła tam cała straż pożarna, nadto do pomocy w akcyi ratunkowej i lokalizowaniu pożaru wezwano znaczną ilość wojska.

O ocaleniu płonących objektów nie było — oczywista rzecz — mowy. Chodziło straży pożarnej o to tylko, by ogień nie przeniósł się na sąsiednie magazyny węgla i nafty, co byłoby się mogło skończyć katastrofą wprost nieobliczalną w skutkach. I to zadanie powiodło się spełnić dzięki usilnej i wytężającej pracy straży. Po kilku godzinach, już nad ranem, pożar zlokalizowano i niebezpieczeństwo rozszerzenia się ognia usunięto.



Olbrzymi pożar w Wiedniu: Dogasające zgliszcza magazynów na dworcu kolei północnej w Wiedniu

Wielka ta katastrofa pożarowa została spowodowana przez zbrodniczy zamach. Mianowicie były dyurnista kolejowy Schottek, którego wydalono ze służby, postanowił się zemścić za to i dostawszy się pokryjomu do magazynów, oblał najbliższy stos drzewa naftą, przyniesioną we flaszce i następnie go podpalił. Pożar objął natychmiast masę nagromadzonego drzewa, a ujrzawszy to Schottek umknął z miejsca zbrodni i dopiero w nocy, przekonawszy się o rozmiarach szkody, przez swój czyn wyrządzonej, pod wpływem wyrzutów sumienia udał się na policyę i ze skruchą przyznał do winy.

Szkody, wyrządzone przez pożar, są ogromne; szczęściem nazwać można, że obeszło się bez ofiar w ludziach, jakoteż że zdołano ocalić pobliskie składy węgla i nafty, której 3000 cystern znajdowały się na miejscu.

Poszkodowani są przedewszystkiem przedsiębiorcy prywatni, do których należały spalone materyały. Kolej sama ponosi szkodę tylko z powodu częściowego spalenia się kilkudziesięciu wagonów towarowych.

Z wielkiem uznaniem podnosi prasa wiedeńska ofiarną pracę straży pożarnej, która z ogromnym wysiłkiem starała się zlokalizować ogień i nie odetchnęła przez całą noc.

Ilustracya na stronie tytułowej przedstawia najgroźniejszy moment pożaru, dalsze ryciny widok zgliszcz następnego dnia po katastrofie i pracę straży około ugaszenia dogorywających stosów drzewa.

Wrzenie na Bałkanie.

Odwieczna bolączka Europy, grożąca nieustannie wybuchem poważnych nieporozumień dyplomatycznych, mianowicie sprawa Albańczyków, buntujących się przeciw rządowi tureckiemu i usiłujących odzyskać niezależność polityczną, zajmuje ciągle prasę europejską.

Zainteresowanie stosunkami, panującymi w kotle bałkańskim, stosunkami zupełnie nienormalnymi i kształtującymi się stale bardzo groźnie, wzmaga się w krajach zachodnich, a na czoło wysuwa się obecnie stosunek między Turcyą a młodem królestwem czarnogórskiem, popierającem niedwuznacznie rewolucyjne dążności nieszczęśliwych Albańczyków.

Rząd turecki jest więc w kłopocie nieustannym. Wysyłane przezeń siły wojskowe, choć znacznie silniejsze od armii powstańczej, choć uzbrojone i wyćwiczone wedle ostatnich wymogów sztuki wojennej, nie mogą sobie dać rady z oddziałami bitnych Albańczyków, którzy mają przewagę nad wojskami tureckiemi raz dlatego, że walczą w obronie ideału wolności narodu, a powtóre że znają lepiej stosunki terenowe. Wiadomo zaś, że w tego rodzaju walkach powstańczych, walkach podjazdowych, bitni Albańczycy są niezrównani.



Kurs nauczycielski: Uczestnicy kursu przygotowawczego do egzaminu wydziałowego, urządzonego staraniem lwowskiego „Ogniska" nauczycielskiego; 1. prof. Wiźimirski; 2. dyr. Leeg; 3. prof. Bylczyński. (Fot. M. Münz, Lwów).

O ile też nie przychodzi do starć w otwartem polu, gdzie Turcy mogą wyzyskać swą przewagę, Albańczycy bronią się bardzo dzielnie i przyprawiają wojska tureckie o bardzo znaczne straty.

Natomiast w większych bitwach odnoszą Turcy zwycięstwa, jak to było n. p. przed kilku dniami w bitwie pod Ipekiem.

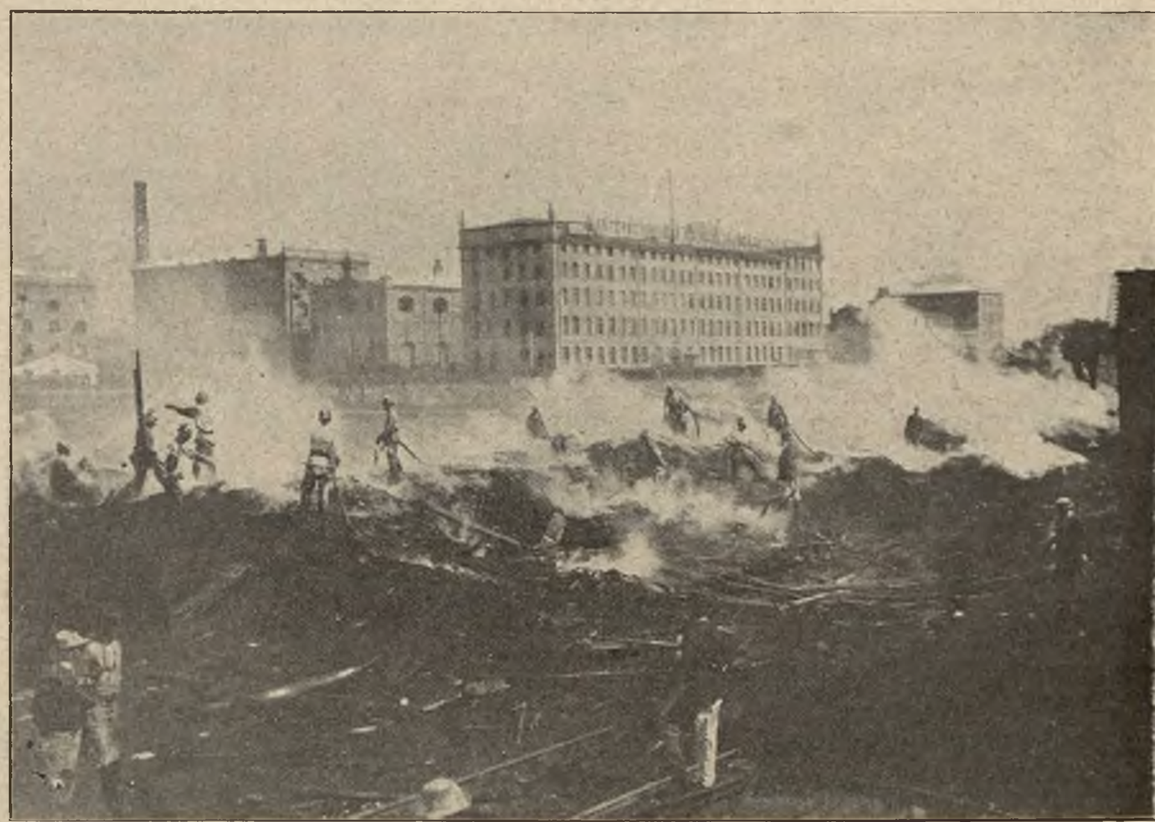
W swych usiłowaniach, zmierzających do uśmierzenia groźnego powstania, nie ogranicza się rząd ottomański do wysłania wojsk w okolice najbardziej zagrożone, lecz zaprowadza stan oblężenia w tych stronach Albanii, gdzie spodziewa się wybuchu rewolucyi. Ostatnio zaprowadzono stan oblężenia w Djakowie.

jakich lud albański się domaga i w których obronie z takiem bohaterstwem i ofiarnością walczy. Domaga się też Turcya, by rząd czarnogórski rozbroił albo wydalił z granic państwa swego wszystkich powstańców, którzy tam się schronili.

Wedle ostatnich wiadomości sytuacya na Bałkanie przedstawia się nadal bardzo groźnie, rząd



Nowy tryumf głośnego lotnika: Zwycięzca w angielskim locie okrężnym porucznik Beaumont-Conneau



Olbrzymi pożar w Wiedniu: Akcya straży pożarnej około ugaszenia dogasających zgliszcz.

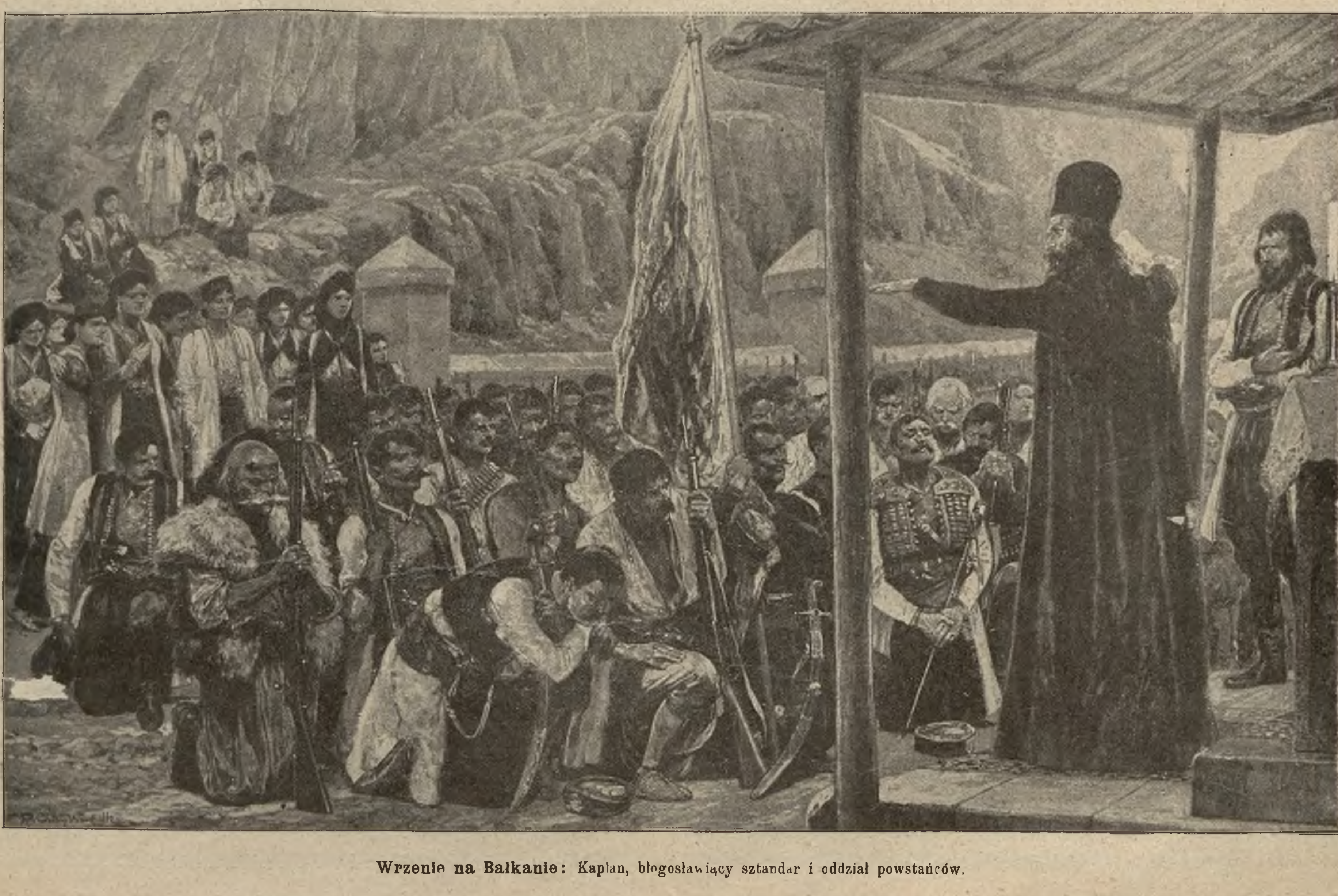
Mimo jednak tych porażek powstańcy nie myślą o składaniu broni, przeciwnie powstanie rozszerza się coraz bardziej i obejmuje nowe okolice Albanii. Rząd turecki jest przekonany, iż rozszerzanie się rewolucyi jest wynikiem pracy spiskowej posła do parlamentu tureckiego Ismaela Kemela beja, bawiącego po za obszarem, objętym ruchem rewolucyjnym.

Drogą dyplomatyczną usiłuje dalej Porta skłonić Czarnogórę do zaprzestania udzielania pomocy bohaterskim Albańczykom. Nie ulega bowiem wątpliwości, że Czarnogóra sprzyja powstańcom i wspiera ich materyalnie i moralnie. Rząd turecki wie o tem bardzo dobrze i grozi Czarnogórze wypowiedzeniem wojny, na wypadek gdyby dalej rewolucyjny ruch Albańczyków wspierała.

Zdaje się atoli, że pogróżki tureckie nie znajdą posłuchu u króla czarnogórskiego, który zdecydowany jest wszelkimi sposobami popierać ruch Albańczyków i skłonić Turcyę do poczynienia ustępstw, turecki bowiem oświadczył wyraźnie, że nie zgodzi się na żadne ustępstwa wobec powstańców, co może doprowadzić do istotnie groźnego stanu rzeczy.

Morskie kąpiele.

W Abbazyi rojno obecnie. Kto może sobie pozwolić na kosztowny pobyt w tej pięknej, nadmorskiej miejscowości, ten spieszy tam, wiedząc iż czas zejdzie mu miło na zabawach i rozrywkach, jakich tam nigdy nie brak, że wśród wesołego otoczenia



Wrzenie na Bałkanie: Kapłan, błogosławiący sztandar i oddział powstańców.



Morskie kąpiele: Kuracyusze, używający morskiej kąpieli w Abbazyi; wśród nich Irena Bohuss-Hellerowa (1). i dyrektor L. Heller (2).

zapomni o troskach i kłopotach codziennego życia i z nowym zasobem sił powróci do dalszej pracy.

Polaków, jak zwykle, bawi w Abbazyi sporo. To też język polski słyszy się tam w restauracyach, kawiarniach, salach koncertowych, nad morzem, a nawet w morzu.

Z pomiędzy znanych ogólnie osób bawi tam obecnie ceniona artystka śpiewaczka p. Irena Bohuss-Hellerowa ze swą siostrzenicą panną Kwiatkowską, przez kilka dni odpoczywał tam też po trudach całorocznej pracy dyrektor lwowskiego teatru Ludwik Heller. Jedna z zamieszczonych rycin przedstawia właśnie pp. Hellerów podczas kąpieli w morzu.

Przed kilkunastu dniami wydarzył się tam przykry ale na szczęście nie groźny wypadek znanemu awiatorowi austryackiemu, porucznikowi Bierowi. Wzleciał on na swym aeroplanie nad morze, pochwycony jednak przez silny prąd wiatru nie mógł się utrzymać w powietrzu i spadł ze znacznej dość wysokości w morze. Sytuacya była przez chwilę krytyczna, gdyż aeroplan zaczął się coraz bardziej zanurzać w głębię, co oczywiście groziło śmiałemu lotnikowi śmiercią. Na szczęście tuż obok znalazł się torpedowiec, którego komendant, hr. Zamagna, pospieszył naturalnie z pomocą tonącemu lotnikowi. W chwilę później porucznik Bier znalazł się przemoczony doszczętnie, ale zdrowy i cały na pokładzie torpedowca, powitany uprzejmie przez podróżnych, wśród których była także p. Irena Hellerowa. Rycina nasza przedstawia właśnie por. Biera, w chwili gdy w nasiąkniętem wodą ubraniu opuszcza pokład torpedowca.

Także aeroplan wydobyto z morza, przyczem pokazało się, iż przymusowa kąpiel nie przyniosła mu wielkiej szkody. Na rycinie trzeciej widzimy wydobyty z wody aeroplan, a obok niego porucznika Biera, rozmawiającego z dyr. Hellerem.

cyi wycieczka studentów politechniki wiedeńskiej pod przewodnictwem prof. dr. Haltera, prowadzona przez przedstawiciela namiestnictwa galicyjskiego radcę dworu Ingardena, celem obejrzenia robót wodnych w naszym kraju.

Po opuszczeniu Krakowa bawili studenci wiedeńscy w Tarnowie, gdzie zwiedzili roboty regulacyjne na Dunajcu, wodociąg tarnowski, w tym roku otwarty, oraz niezwykły, kryty most drewniany na Białe koło Tarnowa.

Następnie udali się do Przemyśla, skąd nastąpił powrót do Wiednia.

Nowy tryumf głośnego lotnika.

Z pośród współczesnych lotników europejskich wysunął się obecnie na czoło porucznik francuski Conneau, używający pseudonimu Beaumont, który brał udział w trzech największych przedsięwzięciach lotniczych, urządzonych w ostatnich czasach i we wszystkich zdobył palmę pierwszeństwa.

I tak por. Beaumont zdobył nagrodę za lot Paryż-Nicea-Rzym, dalej zdobył nagrodę za lot okrężny zachodnio europejski, wreszcie ostatnio był pierwszym w locie okrężnym angielskim, o nagrodę wyznaczoną przez „Daily Mail“.

Wszystkie te zwycięstwa przyniosły Beaumontowi poza owacyami, rozmaitemi zaszczytnemi odznaczeniami itd., wcale piękną fortunę w postaci wysokich nagród, które łącznie wyniosły przeszło 500.000 franków.



Wrzenie na Bałkanie: Ogłoszenie stanu oblężenia w Djakowo.

Technicy wiedeńscy w Tarnowie.

Jak już donosiliśmy, bawiła niedawno w Gali-



Morskie kąpiele: Aeroplan p. Biera (X); obok dyr. Heller.



Morskie kąpiele: Porucznik Bier na pokładzie torpedowca; na górze Irena Hellerowa.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

12)

Widząc, że Jasiński od niejakiego czasu szczególne względy okazuje Anielce i odgadując, że Antek także się w niej kocha, sam wreszcie oburzony w głębi duszy na to, że dziewczyna kogo innego nad niego przełożyła, postanowił złośliwie obudzić zazdrość w Antku, dokuczyć mu tym sposobem za pierwszeństwo okazane mu przez Anielkę a zarazem zniechęcić go do Jasińskiego, iż przenosi ten stosunek z mocno podejrzanym wolnonajemnym policyantem. Tak to samolubstwo miłosne bierze górę w najuczciwszym człowieku i popycha go do czynów nieszlachetnych.

— Ta twoja młoda głowa — rzekł więc mówiąc o Jasińskim — jak widzę, oprócz polityki, zajmuje się także zalecankami do panny Anieli.

Jasne rozpromienione oczy Antka na te słowa pokryły się mgłą, uśmiechnięta twarz skrzywiła się nerwowo. Nic nie odrzekł, tylko stał, patrząc na parę, siedzącą pod świerkiem, ozłoconą plamami słońca, przedzierającemi się przez igły drzewa. Na cimnowłosej głowie Anielki widać było purpurową różę, która ślicznie zdobiła fryzurę dziewczyny. Antek stał i patrzał, a oczy jego coraz bardziej mętną przybierały barwę, usta nerwowo się ścisnęły, twarz przybrała niezdrowy, żółty wygląd, a sękata pałka drżała w chudych rękach słuchacza uniwersytetu. Widząc to, Stanisław rad był bardzo w duszy, że jego słowa takie wrażenie na Antku wywarły.

Nagle Anielka zerwała się z ławki, na której z Jasińskim siedziała i z ruchami widocznego oburzenia opuściła swego towarzysza i szła żwawo i prosto do Antka i Stanisława. Jej twarzyczka pałała żywym rumieńcem, czarne oczy gniewne błyskawice ciskały, a wydatna pierś pod stanikiem falowała widocznie z silnego wzruszenia.

— Wyobraź pan sobie, panie Antoni — zawołała zwracając się do Antka — że ten błazen śmiał mi się oświadczyć.

— Kto? co za błazen? — zapytał gwałtownie Wiśniewski podskakując, jakby na żmiję nastąpił.

— Jasiński!

Antek zaczerwienił się nagle, potem zbladł i po chwilowem widocznem szamotaniu się ze sobą, przyczem zrobił parę kroków, jakby chciał biec ku Jasińskiemu, ale się powstrzymał, uspokoił się, tylko wargi mu drżały nerwowo. Stanisław nie przypuszczał, żeby w tym pozornie chłodnym, wyziębionym, szydzącym ze wszystkiego chłopcu było tyle namiętności, a zarazem tyle ułudy nad sobą. Patrzył na niego i podziwiał, a on tymczasem tonem zupełnie spokojnym zapytał Anielki:

— I cóż mu pani na to odpowiedziałaś?

Zdawało się, że pytanie to obraziło dziewczynę, bo rzekła z pewnem podrażnieniem w głosie:

— Jak panu się zdaje, co mogła taka jak ja kobieta odpowiedzieć takiemu glupcowi, jak Jasiński?

Ale Antek skrzywił się na to boleśnie, co u niego uśmiech miało oznaczać i odpowiedział:

— Pani wie, że ja zbyt mało znam charakter kobiet, bym mógł odpowiedzieć na to pytanie, to tylko wiem (dodał z pewnem namiętnem uniesieniem, podnosząc sękatą pałkę w górę), że gdybym ja był kobietą i gdyby mi się taki głupiec, jak go pani nazywasz, oświadczył, tobym go spoliczkował, a pani tego nie uczyniłaś...

Było tyle zimnej, groźnej namiętności w tych słowach, że Stanisław, nie chcąc być świadkiem dalszej sceny zazdrości między zakochanymi, zawrócił i poszedł do siebie.

Był zły i niezadowolony z siebie i otaczających. Gryzła go zazdrość, że dał sobie wydrzeć Anielkę innym, kiedy tyle czasu był z nią sam na sam, bez żadnego współzawodnictwa. Dziwił się, jak mógł się jej podobać taki Antek Wiśniewski. Niewątpliwie jest to chłopiec bardzo inteligentny, wykształcony, dobry Polak, choć skrajnych przekonań i dążności, ale ma postać niefortunną ze swą twarzą bladą, zawsze skrzywioną, jakby mu dolegało jakie cierpienie, jakby go brzuch wiecznie bolał, z włosem długim, rozrzuconym, miną małomiasteczkowego poety, z tymi wykrzywionymi butami, zaniedbaniem w ubraniu i rękami chudemi o zawsze brudnych paznokciach. Ona, Anielka, taka zawsze czysta, strojna, wykwintna w ubiorze, tak zawsze ładnie uczesana, tak dbająca o swe białe, śliczne rączki, ona zakochała się w tym chorobliwym, brudnym socyaliście!

— Otóż to kobiety! — mówił sobie — słusznie poeta nazwał je puchem marnym i wietrznemi istotami.

A potem przypomniał sobie Jasińskiego i jego oświadczyny pod starym świerkiem. Oburzenie Stanisława nie miało granic. Jak śmiał taki kiep, takie szumowiny warszawskie podnieść oczy na Anielkę! Tego już zanadto, by taki bandyta, prowokator, a może i szpieg policyjny ośmielił się zalecać do porządnej dziewczyny.

Chodził Stanisław po swym pokoju, pięści zaciskał i różne zamiary i różne myśli przychodziły mu do głowy. Oczytany, przypomniał sobie zdania wielu znakomitych pisarzy o kobietach, zdania zawsze im niechętne i zgryźliwe.

— Ba — mówił sobie — wszystkie one jedno warte. Gdyby Anielka nie dawała powodów, to Jasiński nie ośmieliłby się wystąpić do niej z zalecankami.

I przypomniał sobie jej teorye, wygłaszane z pewnego rodzaju bezwstydem o miłości. Ochłonąwszy nieco dziwić się zaczął samemu sobie, dlaczego o tem wszystkiem myśli, dlaczego się dręczy i gniewa.

— Przecież — rzekł — nie ożeniłbym się z nią nigdy i z żadną się nie ożenię, by mnożyć nędzę ludzką, by nowe ofiary Molochowi śmierci w paszczę rzucać. Głupstwo, oszalałem widocznie. W tym wirze wszelkiego rodzaju bałamuctw i zamętu wyobrażeń zmienił mi się umysł i jak głupiec jaki warjuję! O co mi idzie? niech się kochają, niech za łby się wodzą, a mnie co do tego? O nędzo ludzka, o człowieku, jakże ty marną jesteś istotą!

Ale wrzał w nim gniew przeciw Jasińskiemu i nie przestawała go trapić myśl o przygotowywanym przez urzędnika policyjnego napadzie na dwór w Górach. Nie znalazł w tym względzie pomocy u stryja Józefa, który z sieni dworskiej zabrał wiszącą na kołku dubeltówkę, nabił ją siekańcami, po stawił przy swem łóżku i gadał:

— Nu, teraz ja już nie bojący się bandytów. Niechaj przychodzą, to ja im zadam fernepiksu, co ruski miesiąc popamiętają.

I śmiał się i gładził swą długą, budrysowską brodę niedźwiedzia litewskiego.

Nie znalazł też pomocy i u Antka, który całą historyę zamierzanego napadu uważał za głupstwo, za wytwór przestyszenia się Stanisława i przeczył temu, by „dobry patryota" Jasiński takie zamiary żywił. Jakkolwiek teraz zapewne w oczach Antka „dobry patryota" po oświadczynach Anielce dużo stracił, wszelako na słuchacza uniwersytetu, zamroczonego miłosnemi westchnieniami do czarnych oczu dziewczyny, wcale liczyć nie można było.

Cóż wobec tego należało zrobić, jak nieszczęściu i śmiertelnemu niebezpieczeństwu zapobiec? Stanisław nie wątpił, bo przecież liczne wypadki napadów w całym kraju były tego dowodem, że pseudo-socyaliści nie będą szczędzić nikogo, że może się krew polać. Co robić?

Wtedy przyszedł mu na myśl wyjaszek Miller i jego tajemniczy wpływ na Jasińskiego, który widocznie bał się swego kuzyna, nie odzywał się przy nim i zachowywał się skromnie. On jeden tylko, pomyślał sobie Stanisław, może tu coś zrobić, a choć czuł pewien wstręt do udawania się po pomoc do tego zapasionego Szwaba, wobec jednak grozy położenia przemógł się i postanowił Millerowi wszystko powiedzieć.

Właśnie wstał on ze swej poobiedniej drzemki, wyszedł na werandę i siedząc w wygodnym fotelu kaszlał i pluł i czekał aż mu jego „Schatz", ciotka Filomena przyrządzi szklankę herbaty, którą zawsze po przespaniu się pijał, paląc cygaro i przeglądając „Schlesische Zeitung", którą kazał sobie przysyłać do Gór.

Wysłuchał uważnie i bacznie relacyi Stanisława, od czasu do czasu mrucząc pod nosem: „verfluchter Kerl" i plując. Wreszcie po skończeniu opowiadania zapytał:

— I pan to słyszałeś na własne uszy?

— Tak, wszak panu mówiłem. Słyszał to także stryjaszek Józef.

— Możesz pan zaręczyć słowem honoru, że to, co mi opowiedziałeś, jest co do joty prawdą?

Stanisław obraził się nieco tem pytaniem i odrzekł:

— Mógłbym panu odpowiedzieć, że nie lubię, kiedy kto wątpi w prawdziwość moich słów, ale ze względu na doniosłość sprawy ręczę panu słowem honoru, że wszystko, com panu powiedział, jest szczerą prawdą.

— To dobrze. Już ja się z tym łajdakiem rozmówię.

A gdy Stanisław wstał, mając zamiar odejść, Miller zapytał:

— Więc rejent z testamentem pojutrze przyjedzie?

— Tak.

— Czy rano?

— O godzinie dziesiątej rano będzie tutaj.

— To dobrze. Każ pan z łaski swej, by konie dla mnie były gotowe. Zaraz po załatwieniu sprawy testamentu muszę wyjechać. Mam pilne sprawy w Warszawie. Co do Jasińskiego, sądzę, że najlepiej byłoby zawiadomić o jego zamiarach władzę.

— Tego nie zrobię.

— Dla czego?

— Mam swoje powody. Przyrzekł pan z nim się rozmówić i na to liczę.

— Rozmówię się, a proszę pamiętać o koniach dla mnie.

Na tem rozmowa, z obu stron niechętnie prowadzona, urwała się.

Dla Stanisława jasną było rzeczą, że Miller niewątpliwie zamierza donieść o wszystkiem władzom, że jednak nie licząc wiele na ich pojawienie się we właściwej chwili, bo wiedział z doświadczenia, że jak w operetce karabinierowie zawsze przychodzili „troszkę" zapóźno, chciał po odebraniu pieniędzy natychmiast uciekać z Gór. To było najbezpieczniejszem i szło mu tylko o siebie i o swoje pieniądze, a o resztę nie dbał. Z tem wszystkiem nie wątpił także Stanisław, że Miller rozmówi się z Jasińskim, choćby dla tego, by zyskać na czasie i umknąć cało i zdrowo do Warszawy.

Jakoż mając już teraz bacznie na wszystko zwróconą uwagę, co się dzieje w Górach, spostrzegł, że w godzinę później Miller zawołał Jasińskiego, poszedł z nim do swego pokoju, zamknął się na klucz, nawet rolety w oknach zapuścił, żeby nikt przez nie nie zajrzał i nie podsłuchał. Konferencya ta trwała dość długo i zmrok już zapadał, gdy Jasiński mocno zaczerwieniony i spocony, gryząc wargi i ciskając dokoła złowrogie spojrzenia, wyszedł z pokoju Millera. Nie ulegało więc wątpliwości, że była mowa o zamierzonym napadzie, ale jaki jej skutek, na razie dowiedzieć się nie można było, gdyż Miller nie pokazał się do kolacyi, ale kazał ją sobie przynieść do swego pokoju. Tylko Siergiej Bolesławicz, który kręcił się po całym domu, podsłuchiwał i śledził wszystkich, szepnął Stanisławowi, że Jasiński wychodząc od Millera, ścisnął pięści i syknął przez zęby:

— Poczekaj burżuju, zapłacę ci ja za to!

Czy te słowa dotyczyły Stanisława, czy Millera, trudno było odgadnąć i na tem tego wieczoru trzeba było poprzestać.

XVII.

Nazajutrz Miller, niecierpliwie oczekiwany przez Stanisława, przybył dość późno na śniadanie. Zapytany o rezultat wczorajszej rozmowy z Jasińskim, odrzekł lakonicznie po niemiecku:

— *Alles gut!*

Trudno było przy innych nalegać o dokładniejsze wyjaśnienia, zwłaszcza że milczał uparcie, a gdy nakoniec odchodzącego zagadnął Stanisław na osobności, odrzekł:

— Powiedziałem już panu, że wszystko dobrze. Możesz spać spokojnie.

— Radbym jednak wiedzieć bliższe szczegóły.

— Jakie szczegóły? nie mam żadnych.

Odchodząc, przypomniał Stanisławowi, że jutro zaraz po ukończeniu sprawy z testamentem, pragnie wyjechać, żeby więc konie były gotowe.

Wszystko to nadzwyczajnie nie podobało się Stanisławowi i wcale uspakajająco na niego nie oddziałało. Miller zamknął się u siebie szczelnie, jak gdyby unikał Stanisława, zapewne w obawie, by ten nie nalegał na niego o bliższe objaśnienia, co w umyśle Stanisława wzbudzało podejrzenie, że rzeczy nie stoją tak dobrze, jak Miller twierdzi. Zwłaszcza ten natychmiastowy wyjazd z Gór po otwarciu testamentu dawał dużo do myślenia i zakrawał na formalną ucieczkę przed niebezpieczeństwem, tem więcej, że przedtem Miller nic o tem nie mówił, owszem kilka razy wspomniał, że mu tu jest dobrze i że rad jest odpoczynkowi po ciężkiej całorocznej pracy.

Na dobitkę Siergiej Bolesławicz, który czułym nosem czynownika petersburskiego zwąchał, że na coś niedobrego zanosi się w Górach i ciągle Jasińskiego podejrzewając o szpiegostwo, bacznie i pilnie śledził wszystkie jego kroki i czynności, przyszedł koło południa do Stanisława i rzekł z tajemniczą miną:

— Wiecie pan Stanisław, że ten przeklęty szpicel Jasińskij samym rankiem kędy to poszeł. Szeł

ja za nim z daleka, ale czort nadał, drogi jest jak stół i widział mnie. Cóż robić, zawrócił ja jak nie pyszny, coby podejrzenia nie wzbudzić. A teraz on wrócił całkiem spocony i zakurzony, a zły, że nie daj Boh, jeszcze w drogę wleść. Nu, już ja wam pan powiem, co tu krwawa jakaś polska intryga się knuje.

Słowa te nie były pocieszające, ale na szczęście Stanisław był mocno zajęty przygotowaniami do dnia jutrzejszego. W dużej sali ustawiono na środku stół, nakryto go suknem zielonem, a pani Schmidt ciągle zaambarasowana przybiegała do Stanisława, zakładała pulchne rączki na wydatnym brzuszku i dopytywała się, co przygotować na jutrzejszy obiad.

To narzekała, że już szparagów niema, że kalafiory są zbyt młode, że posłała po raki, ale przyniosiono zbyt małe, że może z nich zrobić zupę, a jeżeli nie, to czy podać je nadziewane, czy też po polsku wprost ugotowane w wodzie i czy kurczęta upiec na rożnie, czy też z nadzianiem i t. p. Stanisław zżymał się, łapał się za głowę i wołał:

— A dajże mi pani pokój! rób sobie, jak chcesz!

I pani Schmidt odchodziła z miną zrozpaczoną, by za kwadrans znów powrócić i nową jakąś kwestyę kulinarną przedstawić.

Przybiegła też ciotka Filomena z miną groźną i poczęła wyrzuty czynić z gniewnem uniesieniem Stanisławowi, że jej męża zamęcza i naraża go na chorobę.

— Ja twego męża, ciotko, narażam na chorobę? a to jakim sposobem?

— Takim, że nagabujesz go, by ci coś powiedział, czego on powiedzieć ci nie może i dla uniknienia twoich niedyskretnych pytań zmuszony jest nie pokazywać się, a on potrzebuje świeżego powietrza i ruchu. Oświadczam ci mój bratanku, że nie postępujesz po ludzku.

— Ależ ciotko...

— Tak, nie po ludzku i ja nie pozwolę na to, byś mego męża męczył; nie pozwolę! Jutro zaraz z tego niegościnnego domu wyjeżdżamy i żądam, żeby na godzinę trzecią po południu konie były gotowe.

To rzekłszy, obrzuciła oszołomionego Stanisława gniewnem wejrzeniem swych biednych spłowiałych, wypłakanych oczów i odeszła majestatycznie, o ile nędzna, wychudzona postać, przybrana w czarną, wytartą wełnianą i niemodną sukienkę, mogła być majestatyczną. Stanisław patrzał na nią zdumiony, nie mogąc sobie zdać sprawy, czego ta kobieta, zmaltretowana przez swego męża gbura, chce od niego. Nie ulegało wszakże wątpliwości, że to wystąpienie zwykle cichej, pokornej, milczącej ciotki Filomeny, było z wiedzą i z polecenia jej męża, któremu widać bardzo dużo zależało na tem, by go Stanisław więcej nie pytał o wczorajszą rozmowę z Jasińskim, oraz by konie do nagłej z Gór ucieczki były gotowe.

Ubolewając mocno nad niewolniczą uległością ciotki Filomeny, która okazywała poprzednio Stanisławowi wiele serdecznej przychylności, dziwiąc się żelaznej woli Millera, która umiała ugiąć i złamać tę nieszczęśliwą kobietę, jednocześnie przyszły dziedzic Gór dochodził do przekonania, że sytuacya jest bardzo zła i że on absolutnie nie wie, co robić. Z Wiśniewskim nie było co o tem gadać, bo on myślał tylko o Anielce, po za którą nic więcej nie widział i świat mógł się zapaść, byle jego ubóstwiana ocalała. Od rana chodzili razem po parku, kryli się w gęstwinie drzew, prowadząc nieskończone rozmowy i sobą wyłącznie byli zajęci. Wprawdzie przyszła Stanisławowi myśl, żeby po wiedzieć Antkowi, iż jeżeli napad bandycki na Góry istotnie przyjdzie do skutku, to Anielka może paść jego ofiarą.

— Ha! — powiedział sobie — może to poskutkuje i otrzeźwi zacietrzewionego koguta.

Poszedł tedy szukać Antka, bo w swej niezdecydowanej, miękkiej, wątpliwościami pesymistycznej filozofii przesiąkniętej naturze, potrzebował jakiejś pomocy, poparcia, przykładu energicznego czynu. Znalazł zakochaną parę siedzącą na ławce, nad sadzawką w głębi parku, przytuloną do siebie, zajętą żywą rozmową i obrywającą listki z róży, które rzucali na wodę i patrzyli, jak je fala unosi. Z trudnością udało się Stanisławowi oderwać Antka od Anielki i gdy nareszcie został się z nim sam, po przedstawieniu mu położenia, oraz kroku, jaki zrobił do Millera i rezultatu tego postąpienia, zakończył:

— Mówię ci to dla tego, że już dziś nie ulega wątpliwości, że Jasiński zamierza istotnie napadu dokonać.

— Dla mnie jednakże ulega to wątpliwości.

— Nie, bo skoro Miller gada, że wszystko jest teraz dobrze i można spać spokojnie, to stąd wniosek prosty, iż przedtem nie było dobrze i nie było można spać spokojnie.

— Przypuśćmy, że ze słów Millera taki wniosek wyprowadzić można, to jednakże skoro on zapewnia, że spać można teraz spokojnie, nie widzę powodu do niepokoju.

— Jednakże on sam ucieka, a to jest ważną bardzo oznaką i dowodem, że jego interwencya nie wiele poskutkowała. Mój Antku! ja cię przecież niepokoić nie myślę, ale zważ, że jeżeli napad przyjdzie do skutku, to w pierwszym rzędzie padnie jego ofiarą panna Aniela. Zważ, że Jasińskiemu podoba ona się bardzo, że mamy przykłady, iż w takich napadach panowie bandyci nie kierują się żadnymi względami, któż mi zaręczy, że taki Jasiński nie dopuści się jakiego ohydnego gwałtu na bezbronnej dziewczynie...

Zaświeciły się dziko oczy Antka, podniósł sękatą pałkę, zawinął nią z potężnym rozmachem w powietrzu i syknął:

— Psiakrew! ubiję hycla!

— Nie ubijesz... zresztą tu nie o to idzie, ale o zapobieżenie nieszczęściu. Trzeba coś przedsięwziąć, coś postanowić.

— Masz racyę. Trzeba coś postanowić.

Począł chodzić nerwowo tam i z powrotem, machać sękatą pałką, wreszcie zatrzymał się i rzekł:

— Masz przecie broń?

— Są cztery dubeltówki.

— Brawo! nabijemy je siekańcami, psy spuścimy, okiennice zamkniemy, drzwi zatarasujemy, i niech przychodzą. Zjedzą sto dyabłów, nim nam dadzą radę. A zresztą, zostaw to mnie... namyślę się... wynajdę jaki piekielny środek i powiem ci potem.



— Psiakrew! Ubiję hycla!

Oglądał się i szukał oczami Anielki, która wolno posuwała się ku domowi, zrywając kwiaty po drodze i widocznie pragnął skończyć rozmowę, by pobiec za dziewczyną. Nie było z nim co gadać i Stanisław coraz bardziej zniechęcony i zrozpaczony odszedł.

Nie przyniosła pociechy i rozmowa ze stryjaszkiem Józefem. Gdy mu Stanisław opowiedział swoje odwołanie się do Millera o pomoc i radę, stryjaszek uśmiechnął się słodko po swojemu i rzekł:

— A wiesz serdeńko, żeś popełniwszy kapitalne głupstwo. Ale mów dalej, cóż ci Miller powiedział?

Gdy Stanisław przytoczył odpowiedź Millera, jego zagadkowe milczenie, zamiar natychmiastowego wyjazdu z Gór po otwarciu testamentu, niespodziewane wystąpienie ciotki Filomeny, wreszcie słowa Jasińskiego po wyjściu z pokoju Millera, stryjaszek Józef uśmiechnął się, zręcznie schwycił muchę, która mu uparcie siadała na pałkowatym, burakowym nosie i uśmiechając się rzekł:

— A wiesz serce, co to wszystko znaczy?

— Sądzę, że Miller nie dowierza Jasińskiemu, a raczej jego towarzyszom i na wszelki wypadek chce wynieść się jaknajprędzej z Gór.

— Tak myślisz?

— Tak mi się zdaje, ale mogę się mylić.

— Mylisz się braciaszku i bardzo się mylisz.

— Jakież więc jest zdanie stryjaszka?

— Takie, serce ty moje, że się dwaj złodzieje zwąchali.

— Nie rozumiem.

— Widzisz... ja ci to powiem... Miller, który jest zbój nad zbóje, jakiego świat i Korona polska nie widziała, porozumiał się z Jasińskim i powiedział mu, ty napadaj, pieniądze zabieraj, ale pod warunkiem, że mnie z nich oddasz połowę. Inaczej to ja ciebie wydam. Ja sobie wcześniej wyjechawszy, a ty napadaj. Rozumiesz teraz serdeńko?

— To niemożliwe! to byłby szczyt łajdactwa, do takiej przewrotności ludzie nie są zdolni.

— Ba! braciaszku, ty jeszcze bywszy młodym i nie znający ludzi. Ale ja ich znający. Ja żywszy sześćdziesiąt lat na świecie, wiem, co człowiek warty. Człowiek, serceż ty moje, to dzikie zwierzę, bał gorszy od dzikiego zwierza, bo zwierz swego roda a nie napadający, a człowiek! *Homo homini lupus*, pamiętasz ze szkolnego *tirocinium?*

Uśmiechnął się dobrotliwie, gładził swoją rozwichrzoną brodę, łapał muchy i wyrzucał je za otwarte okno, a one niewdzięczne za okazane im miłosierdzie, znowu wracały i zawzięcie atakowały jego nos potężny.

— Ot widzisz — mówił dalej — ty to dobrze odgadł, że Miller mimo rozmowy z Jasińskim nie dowierzający mu, a raczej jego kamratom. Dyabeł nie śpi. Jak napadną, nie będą zważający na umowę, ale co na placu, to nieprzyjaciel. Lepiej więc wcześnie umykać a pieniądze zawsze będą, bo Jasiński, bojąc się denuncyacyi swego wujaszka, umowę spełni. Oto jak się sprawa ma. Jasiński też, mówiąc, że zapłaci burżujowi, miał nie kogo innego, tylko ciebie, braciaszku na myśli, boś mu popsuł szyki, bo zamiast zagarnąć dla siebie cały łup, będzie się musiał nim podzielić z Millerem.

— Przecież i tak musiałby się dzielić nim ze swymi towarzyszami.

— Tak to niby wyglądа, ale ja pewny jestem, że durniów tych wystrychnąłby na dutków, a Millera nie może, bo to pachnie szubienicą. Oho! hycel to ostatni ten Miller! Szwab przeklęty. Pojedzie sobie, a resztę niech dyabeł porwie. Ot prawdę powiedziawszy, to i mnie należałoby jechać. Po co ja mam kłaść zdrową głowę litewską pod ewangelię. Mnie o pieniądze nie idzie, ale ja potrzebujący ich dla Litwy. Ot, pokociło się!

— Jakto stryjaszku i tybyś mnie opuścił?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nowe prezydyum Izby poselskiej.

W ciągu lat istnienia austryackiego parlamentu stosunki w nim uległy znacznym bardzo zmianom. Na zewnątrz objawiło się to w rozmaity sposób, przedewszystkiem przez ogromne powiększenie liczby członków prezydyum Izby posłów, które z początku składało się z trzech osób, tj. z prezydenta i dwóch wiceprezydentów, obecnie zaś składa się z ośmiu.

Ten przyrost liczby wiceprezydentów tłómaczy się z jednej strony znacznem powiększeniem ilości posłów, raz przez dodanie kuryi powszechnego głosowania, a następnie przez oparcie wyborów na zasadzie powszechnego głosowania, z drugiej zaś przez wzrost pewnych stronnictw w Izbie poselskiej, które doszedłszy do znacznej siły w parlamencie, żądały dla siebie przedstawicielstwa w prezydyum. I gdy dawniej w tem prezydyum zasiadali tylko przedstawiciele trzech najsilniejszych stronnictw: niemieckiego, czeskiego i polskiego, dziś znajdujemy tam prócz wspomnianych, jeszcze reprezentanta partyi socyalno-demokratycznej, Włochów, południowych Słowian i Rusinów.

Oczywista rzecz, że godność wiceprezydenta Izby posłów ma znaczenie raczej teoretyczne, niż praktyczne, gdyż przewodnictwo a zatem wpływ na tok obrad, spoczywa prawie stale w ręku prezydenta Izby.

Z Galicyi zasiada obecnie w prezydyum dwóch posłów, a to dr. Ludomił German, jako przedstawiciel Koła Polskiego i Julian Romańczuk, jako przedstawiciel klubu ukraińskiego.

Zdjęcie nasze przedstawia nowe prezydyum Izby poselskiej w komplecie.



Nowe prezydyum Izby poselskiej: Siedzą od lewej ku prawej: Julian Romańczuk, prezydent dr. Julian Sylwester i Józef Pogacznik; stoją od lewej ku prawej: dr. Henryk Conci, Karol Jukl, Engelbert Pernerstorfer, dr. Ludomił German i Józef Zdarsky.

Upały w Galicyi.



Upały w Galicyi: Dziatwa przemyska w Sanie pod Przemyślem. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Po kilku latach chłodnych i wilgotnych przeważnie, nawiedziła nas w tym roku istna klęska, istna plaga upałów, które dały się we znaki i ludziom i zwierzętom, mieszkańcom miast i wsi, wszystkim po równi, wszystkim bardzo dotkliwie.

Zapowiadano nam „falę upałów“ od dawna, wówczas już, gdy dochodziły do nas wieści o niesłychanem gorącu w Ameryce. Upały posuwały się coraz dalej na wschód, aż dosięgły środkowej Europy a następnie i naszego kraju.

Nie pomogły ani Alpy ani Karpaty, które wedle teoryi naukowej stanowią naturalną baryerę, mającą zagrodzić drogę fali upałów na północny wschód, odczuliśmy je niestety bardzo dotkliwie wraz z długą posuchą.

Ciepło jest rzeczą niewątpliwie miłą. Ale w miarę, ale nie bez końca i granic. Tymczasem w tym roku mieliśmy do czynienia z prawdziwą orgią spiekoty. Przez długi szereg dni prażyły nas bez przerwy gorące promienie słońca, przed którymi bardzo trudno było się schronić, zwłaszcza że rozgrzane do niebywałej temperatury powietrze wciskało się wszędzie, nawet tam, gdzie w zwyczajnych warunkach panował miły chłód. Wieczory, noce i ranki nie przynosiły żadnej prawie zmiany temperatury i nie dawały tak upragnionego i pożądanego wypoczynku.

Najdotkliwiej dawało się to odczuć w miastach. Ich bruki, kamienie i mury stanowiły niejako naturalny rezerwoar, gromadzący zapas ciepłoty, którą zasilały się noce i następne dni, stąd też upał z dnia na dzień stawał się silniejszy i dokuczliwszy.

Ratunku przed spiekotą szukano w rozmaity sposób. Spijano więc olbrzymie ilości wody zwyczajnej lub sodowej, rozmaitych chłodników, spożywano masę lodów i mrożonych kaw. Dalej szukano ochrony przed upałem w kąpieli. Stawy i rzeki roiły się w tych dniach od tłumów kąpiącej się i chłodzącej w ten sposób ludności. W Wiśle w Krakowie, której poziom wody spadł do niesłychanie niskiego stanu, kąpały się każdego dnia nieprzeliczone masy osób obojga płci i różnego wieku. Cała przestrzeń koryta Wisły od placu Groble aż poza most koło Dębnik, zapełniała się zwłaszcza w godzinach popołudniowych spragnionymi chłodu, toż samo było w okolicy mostu podgórskiego.

Także w innych miastach działo się podobnie. W Przemyślu używano rozkoszy kąpieli w Sanie, który podobnie jak Wisła zapełniał się mnóstwem kąpiących.

Ryciny nasze przedstawiają amatorów kąpieli w Wiśle w Krakowie i w Sanie w Przemyślu.

„Kamienie głodowe“.

Fala upałów, która przed kilku tygodniami nawiedziła Amerykę, przeszła kolejno na wschód, do Europy, na której obszarze panują obecnie tropikalne wprost upały wraz z posuchą. Odbija się to fatalnie zarówno na miastach jak i wsiach, które cierpią z powodu braku wody. Oczywista rzecz, że w następstwie posuchy stan wody w rzekach większych i mniejszych zeszedł do poziomu tak niskiego, jakiego od bardzo dawna nie pamię

tają. Wskutek tego też na wielu rzekach musiano wstrzymać żeglugę.

Z tego samego powodu ukazały się na brzegach Łaby kamienie, zwane wśród ludu popularnie „głodowymi". Kamienie te bowiem występują na światło



Upały w Galicyi: Płeć piękna z Przemyśla, chłodząca się wodą Sanu. (Fot. M. Todt, Przemyśl)

dzienne tylko w latach wyjątkowo upalnych i suchych, zresztą zaś ukryte są w wodzie. W okolicach tych stało się tradycyą wśród ludu rycie na kamieniach dat, w których były widoczne.

Ostatni raz widoczne były takie kamienie podczas pamiętnej posuchy w 1904 r. dawniej zaś, jak wskazują daty na nich wyryte, w latach 1115, 1616, 1636, 1707, 1716, 1790, 1800, 1811, 1842, 1862, 1868 i 1893.

Ukazanie się tych kamieni jest równoznaczne z wstrzymaniem żeglugi na Łabie, uprawianej tam od wielu wieków, a tem samem oznacza znaczne szkody materyalne dla ludności tamtejszej. Stąd też pochodzi nazwa kamieni „głodowych".

Jeden z takich kamieni, pokryty datami na nim wyrytemi, przedstawia nasza rycina.

Wystawa graficzna w Zakopanem.

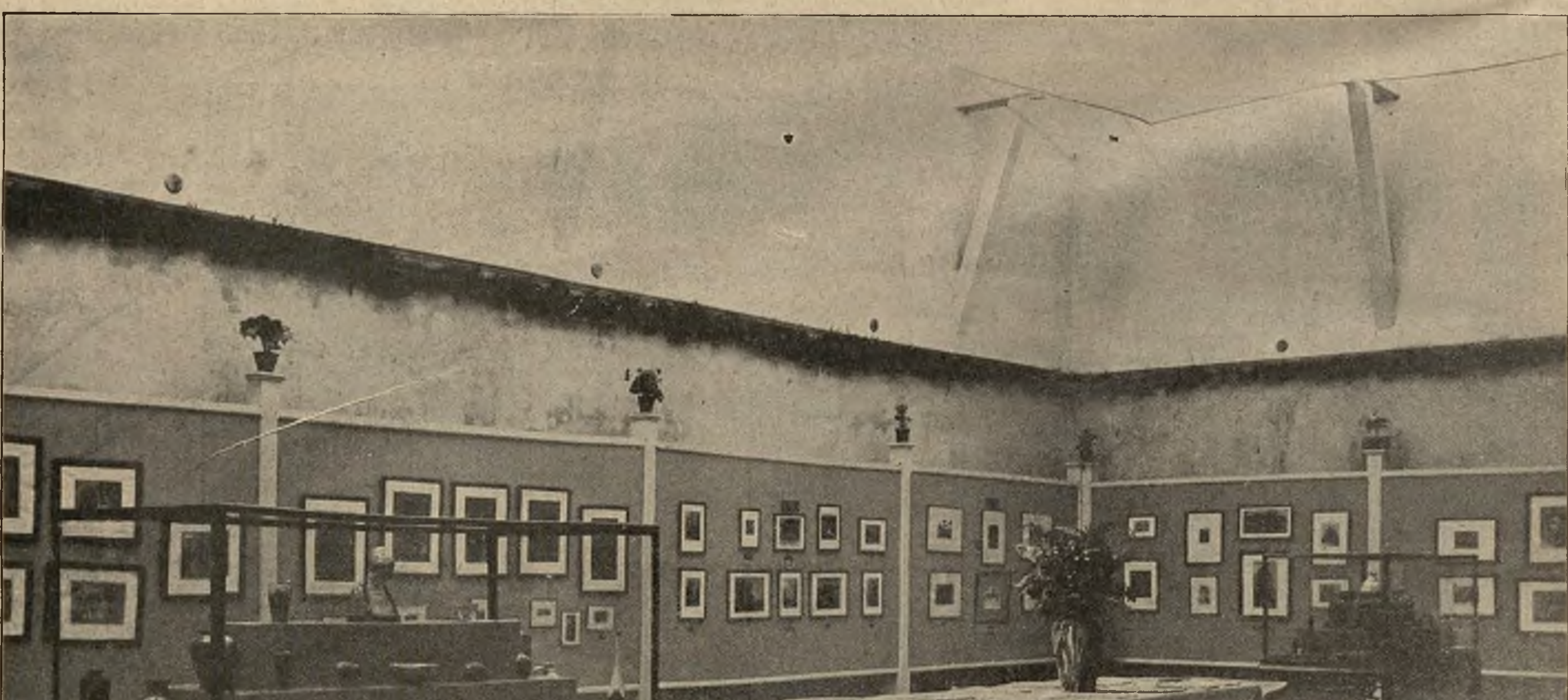
Wśród licznych odczytów, wieców, przedstawień i koncertów, sztuka tylko jedna nie miała dotychczas należytego uwzględnienia w Zakopanem. A właśnie tam, w tym najcudniejszym zakątku ziemi naszej, gromadzącym latem czy zimą Polskę trzech zaborów, najwięcej po temu warunków, by i lepiej zrozumianą i żywiej odczutą być mogła. Tam oczy



Kamienie „głodowe": Jeden z tzw. kamieni głodowych, ukazujących się ponad wodą rzeki Łaby w latach upalnych.

pełne blasku i czarów przyrody, czulsze są na wrażenia estetyczne, tam i czas swobodny i myśl wypoczęta sprzyjają zainteresowaniu się nią i odczuwaniu jej intenzywniejszemu. Tam też powinnoby się zacząć popularyzowanie sztuki.

Ten brak sztuki i potrzeba istnienia jej w Zakopanem, spowodowały w ostatnich latach parę wystaw doraźnych, urządzonych przez artystów tamtejszych. Już pierwsze próby, ani zasobne w ilość prac ani nie mające należytego pomieszczenia, cieszyły się żywem zainteresowaniem gości zakopiańskich, cóż więc dziwnego, że z radością powitano otwarcie wystawy graficznej, która i swoją orygi



Wystawa graficzna w Zakopanem: Wnętrze sali wystawowej.

nalnością, jako pierwsza w tym rodzaju u nas i urządzeniem pełnem wytwornego smaku, oraz wysoką wartością prac nadesłanych na konkurs, zasługuje na uwagę i uznanie. Ma ta wystawa i odpowiednie pomieszczenie, bo urządzono ją w dużej sali z oświetleniem górnem, w nowym gmachu Bazaru polskiego, wystawionym kosztem hr. Zamojskiego. Już sam fakt, że jest obecnie sala, odpowiadająca wymaganiom wystaw sztuki, napawa otuchą, że życie artystyczne w Zakopanem coraz lepiej rozwijać się będzie i słać stąd ożywcze promienie w najodleglejsze zakątki ziemi naszej. Podobno już w sierpniu ma się tam odbyć parę konferencyi z dziedziny sztuki, a po wystawie obecnej ma Grohmann urządzić wystawę swych cennych zbiorów sztychów i obrazów. Wielka wdzięczność należy się hr. Zamojskiemu, iż tak bacznym jest na potrzeby życia naszego i tak chętnie współdziała wszelkim dobrym usiłowaniom.

A teraz parę słów jeszcze o konkursie i wystawie graficznej.

Doprawdy cieszyć się trzeba, że grafika, tak zaniedbana w XIX. wieku za granicą i u nas, zdobywa sobie znowu prawa obytelstwa w dziedzinie sztuki i że linia, która stanowi jej wyraz, jej styl, a którą nie mógł się poszczycić impressyonizm XIX. wieku, za jej pośrednictwem odżywa.

Trzeba też przyznać Grohmannowi wielką trafność w wyborze, że właśnie tym, a nie innym działem sztuki się zaopiekował i że tak na czasie ogłoszonym konkursem zwrócił uwagę ogółu na odradzającą się u nas grafikę.

Z nadesłanych 130 prac na konkurs, umieszczono na wystawie około 110 t. j. te, które odpowiadały wymaganiom estetycznym konkursu. Wyróżniają się wśród nich sztychy Skoczylasa, Rubczaka, nadesłane poza konkursem akwatinty i akwaforty Skotnickiego, jak miedzioryt kolorowany „Rzepicha" i Burza, oraz sztychy Stankiewiczówney, Jabłczyńskiego, Gwozdeckiego i Mondrali przepyszny „Szewc".

Salę wystawową zdobią piękne kilimy z pracowni miejscowej Towarzystwa „Kilim", a więc wzorzysty i piękny w tonie kilim Tretera, silnie i barwnie pomyślany kilim kościelny „Chrystus na krzyżu" Skoczylasa, oraz kilka ozdobnych serwet Brzozowskiego.

W środku sali umieszczono parę witryn ze starą ceramiką koreańską i japońską, nowoczesną francuską i angielską, oraz z łakami chińskimi. Komitet wystawiając je miał może zamiar przypomnieć nam, że i w tym względzie jest u nas do zrobienia wiele, a może chciał tylko tym sposobem się wypowiedzieć, że nie uznaje granicy między sztuką stosowaną, a czystą, że czy garnek, czy dywan, jeśli ma właściwą sobie formę i nastrój, jest także dziełem sztuki.

Kurs nauczycielski.

Ognisko lwowskie Krajowego Związku nauczycielskiego, chcąc przyjść kolegom i koleżankom zawodowym z pomocą, urządza rokrocznie kursa przygotowawcze do egzaminów wydziałowych. Kursa te są wielką pomocą dla nauczycielstwa prowincyonalnego, które na miejscu nie może przygotować się do takiego egzaminu wobec braku podręczników, pomocy naukowej i środków materyalnych.

Wyzyskuje tę sytuacyę inicyatywa i przedsiębiorczość prywatna, która z urządzania tego rodzaju kursów dla nauczycieli czerpie zyski. Wystarczy wspomnieć, że na kilku prywatnie urządzonych kursach pobiera się dwa razy tak wielką opłatę za uczestnictwo, aniżeli w „Ognisku" Krajowego Związku nauczycielstwa. A pod względem pedagogicznym wykłady w „Ognisku" stoją na bardzo wysokim poziomie, gdyż spoczywają w ręku wybitnych profesorów.

Kurs ten urządzili prezes „Ogniska", dyrektor Leeg, wiceprezes prof. Wizimirski, oraz grono członków Wydziału.

Podobne kursa urządza i Rada szkolna krajowa w poczuciu swego obowiązku, lecz wiele zastrzeżeń w przyjęciu zgłaszających się umożliwia tylko rzadkim i wybranym jednostkom korzystanie z tej pomocy.

„Ognisko" lwowskie Krajowego Związku nauczycielskiego" wyręcza zatem władze szkolne, a czyni to głównie z pobudek samopomocy koleżańskiej.



Wystawa graficzna w Zakopanem: Dom „Bazaru polskiego", mieszczącego wystawę.

Francya i Niemcy a Marokko.

Znane polskie przysłowie: „Gdzie dyabeł nie może tam babę pośle" w nowych czasach powinno o tyle zostać zmodyfikowane, iż miejsce owej baby zająć musi Niemiec. Ilekroć wyłoni się na horyzoncie politycznym jakaś sprawa, która grozi obaleniem równowagi międzypaństwowej, bez wahania można twierdzić, że Berlin umaczał w tem ręce i że stara się zamącić wodę, aby tem łatwiej zacząć łowić rybki dla siebie.

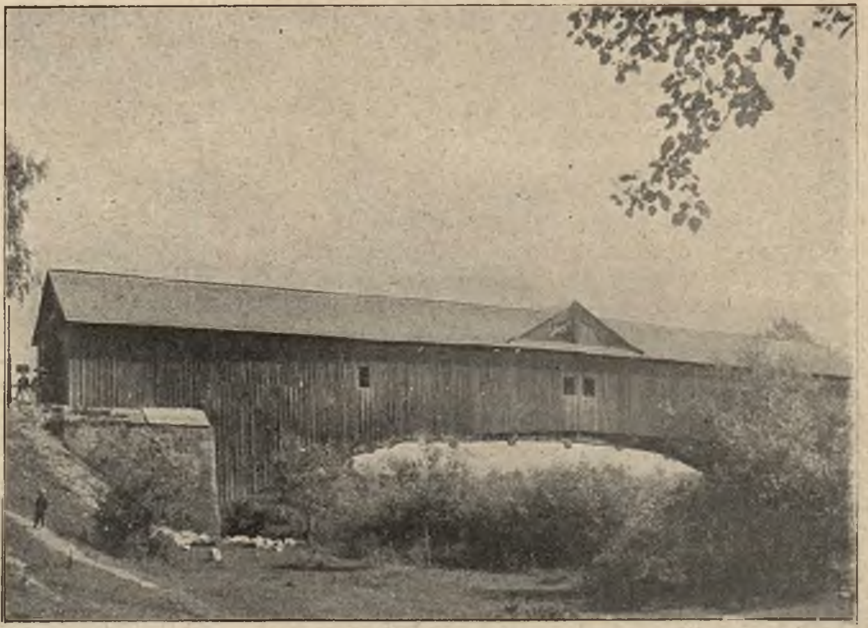
Zupełnie ta sama historya powtórzyła się obe-



Upały w Galicyi: Tłumy kąpiącej się ludności na Wiśle w Krakowie.



Technicy wiedeńscy w Tarnowie: Grupa uczestników wycieczki wiedeńskich studentów: 1. prof. dr. Halter; 2. radca dworu Ingarden; 3. inż. Mozdyniewicz 4. inż. Zaremba; 5. inż. Ursini; 6 inż Wowkonowicz; 7. asesor miasta Schubert.



Technicy wiedeńscy w Tarnowie: Osygralny kryty most drewniany na Białej koło Tarnowa.

cnie w sprawie marokańskiej. Niespodziewane powodzenie jenerała Moinier w Fezie i okolicy zaczęło kłuć w oczy Niemców, nie mogli przenieść po sobie, iż znienawidzony przez nich Delcassé pomimo przesileń, pozostaje w gabinecie. Pod naciskiem wszechniemców odważył się kierownik berlińskiej polityki zagranicznej pan Kiderlen-Wächter na gwałtowny i bezwzględny krok, postanowił skorzystać z zamętu wewnętrznego we Francyi i pierwszych chwil ministerstwa Caillaux, pewny, że Europa przyjmie to w milczeniu do wiadomości i przejdzie nad tem do porządku dziennego. Liczono w Berlinie także na to, iż niema już króla Edwarda, a Jerzy V. na sprawach międzynarodowych wcale się nie zna i bardzo mało się niemi interesuje.

Stało się jednak inaczej. Gabinet angielski zrozumiał, że idzie tu o pogwałcenie słabej Francyi przez Niemcy i oświadczył zupełnie niedwuznacznie, że i Anglia byłaby poważnie zagrożona, gdyby Niemcy usadowiły się na brzegach atlantyckich Marokka. W tym duchu odezwał się nawet znany zwolennik ograniczeń zbrojeń i przyjaźni z Niemcami angielski kanclerz skarbu Lloyd George, zaznaczywszy, że aczkolwiek pokój, jest pierwszym warunkiem należytego rozwoju, przecież niezbędnem jest także, aby Wielka Brytania zachowała we wszystkich wypadkach swoje miejsce i urok wśród mocarstw. Gdyby narzucono Angli, położenie, w którem przyszłoby okupić pokój zrzeczeniem się kompetentnego stanowiska, albo też zezwoleniem na narażenie żywotnych interesów kraju, byłoby to poniżeniem, którego naród angielski znieść by nie potrafił.

Wślad za tem poszły wiadomości o mobilizacyi floty angielskiej, a w Berlinie spuszczono rychło z tonu, pośrednio uznano, że wmieszanie się w sprawy marokkańskie było co najmniej niefortunnym krokiem i rozpoczęto z Francyą układy. Kiderlen-Wächter miał zażądać od ambasadora francuskiego w Berline, Juliusza Cambona części wybrzeża francuskiego Kongo wraz z portem Libreville jako rekompensaty za zrzeczenie się spodziewanych korzyści w Marokku, na co tenże jednakowoż się nie zgodził, inny zaś z dyplomatów francuskich, de Selves, zauważył z ironią, że gdyby inne mocarstwa, które brały udział w konferencyi w Algeciras, wystąpiły z podobnemi roszczeniami, nie wystarczyłyby stanowczo wszystkie francuskie kolonie, aby zaspokoić ich apetyty.

Podstawę pertraktacyi pomiędzy rządem niemieckim a francuskim tworzą administracyjno militarne reformy w Marokku na tle układu z roku 1909, gwarancya ekonomicznych interesów państw w postaci marokkańskiego centralnego komitetu dla spraw publicznych budowli i rozpisania publicznych ofert, wreszcie zamiana francuskich i niemieckich terytoryów w zachodniej Afryce. Odstąpioną miałaby być Niemcom północna część francuskiego Konga (jednak bez miasta i portu Libreville) w zamian za niemieckie prowincye Togo i część Kamerunu.

W tej sprawie Bethmann Hollweg i Kiderlen-Wächter wyjechali do Swinemünde, aby uzykać aprobatę cesarską dla zamiany terytoryów i wyjść zręcznie z honorem z przykrej dla Niemców sytuacyi, w jakiej znaleźli się dzięki swej zachłanności, zwłaszcza, że i rząd francuski ułatwia im wyjście. Opinia publiczna francuska i rząd są zdania, że Niemcom należą się pewne terytoryalne kompensaty w zamian za uznanie wolnej ręki rządu francuskiego w Marokku i odstąpienie terytoryów niemieckich.

Według artykułu Hardena ogłoszonego w czasopiśmie „Zukunft“ ustępstwo Niemiec zrozumiane być może tylko jako stchórzenie przed groźną postawą Anglii i świadczyć musi o ruinie ich wpływu w potędze wszechświatowej. Niemcy zeszły z drogi prawa na drogę rabunku, za wszelką cenę starają się o wytargowanie odczepnego, Francya zaś zgadza się na nie dla tem jaskrawszego upokorzenia tej polityki czysto pruskiej, która zawsze i wszędzie stara się o urwanie dla siebie jakiegoś ochłapu, choćby to nawet z etyką nie miało nic wspólnego. Jeżeli ugoda z Francyą dojdzie do skutku w ten sposób, jak to nakaże Anglia, blask potęgi niemieckiej zblednie najzupełniej.



Francya i Niemcy a Marokko: Konferencya niemieckiego sekretarza stanu Kiderlen Wächtera z ambasadorem francuskim J. Cambon.

KAMIL PERT

Dramat w domu obłąkanych

2 Powieść.

Co prawda, wiolonczelista kochał Julię namiętnie, lecz żona doktora pragnęła pozostać i pozostała wierną swoim obowiązkom. Zwierzała się tylko młodemu przyjacielowi ze swoich zmartwień, pozwalając mu mieć nadzieję, że może kiedyś zgodzi się na rozwód, pożycie bowiem z mężem stawało się dla niej coraz bardziej przykrem i trudnem do zniesienia.

A młodzieniec powtarzał ciągle:

— To tylko mogę ci, Julio, powiedzieć, że zachowuję dla ciebie miejsce przy mojem ognisku rodzinnem. Matka moja i ja jesteśmy ubodzy, lecz chciej wierzyć, że dołożymy wszelkich starań, żeby cię uczynić szczęśliwą. Pewny jestem, że w naszem ciepłem kółeczku i w naszem szczerze ci życzliwem otoczeniu, zapomnisz łatwo o zbytku, jaki cię dziś otacza.

Julia czule przycisnęła ramię, na którem się opierała.

— Drogi mój! gdybym kiedykolwiek została twoją żoną, nie chciałabym ci być ciężarem. Dawać będę lekcye. Wszakże już byłam nauczycielką. Lecz w jaki sposób brat mój zdoła zarabiać na życie?

— Wcale dobrze gra już na skrzypcach, więc może być przyjęty do jakiejś orkiestry. Bezwątpienia takie istnienie nie jest ani rozkoszne, ani wygodne, lecz czyż nie lepszą jest bieda przy niezależności, aniżeli zamknięcie w tym okropnym domu?

Julia wzdrygnęła się całem ciałem.

— Masz zupełną słuszność! Nie znam nic straszniejszego od życia, spędzonego w pośród waryatów! Wolę nędzę, niż stykanie z nimi nieustanne. Uśmiechają się słodko, rozumują rozsądnie, mówią niby jak wszyscy, aż nagle wzrok ich staje się błędny, w oczach maluje się dzikość, pienią się, pragną bić mordować. A krzyki, które słyszę niemal w noc każdą i w czasie burzy!... A katastrofy, których co chwilę spodziewać się można!... Niedawno Sempuis z trudnością ugasił pożar, wzniecony przez jednego ze złośliwych szaleńców. W przeszłym miesiącu pewien obłąkany zdruzgotał szczękę czuwającemu nad nim dozorcy, pomimo że w ciągu długiego przeciągu czasu okazywał mu wielką życzliwość.

Umilkła — i zadrżała nagle. Towarzysz jej stanął jak wryty. Wsłuchiwał się w jakiś głos niezwykle chrapliwy, tętniący straszną boleścią.

— Och! czy słyszysz? — szepnął przejęty trwogą.

Drzwi szaletu, przed którym się zatrzymali, otwarte były na rozścież. Jęk żałosny, pełen niewysłowionego bólu, zmroził krew w ich żyłach. Nie można było pochwycić uchem ani jednego zrozumiałego wyrazu, bo tylko zdławione jakieś dźwięki wydobywały się z czyjejś piersi. Poczem nastała cisza. Łatwo było odgadnąć, że ta pierś, przed chwilą wstrząsana straszliwem jakiemś cierpieniem, wyzionęła obecnie ostatnie tchnienie.

Zapominając o wszelkiej ostrożności Ludwik Marsol poskoczył naprzód.

— Ostrożność!... Ktoś niezawodnie kona!

W pobliżu wejścia do szaletu, potknął się na leżącem przy progu ludzkiem ciele.

Julia podążyła za nim, wołając:

— Mój Boże! ostrożnie! Może to waryat, który wymknął się w napadzie wściekłości!

Ludwik, zmienionym przez wzruszenie głosem, odpowiedział spiesznie:

— Sądzę raczej, że zabił swego dozorcę!

Pochylił się, pomacał nieruchome ciało i nagle wyprostował się z krzykiem przerażenia, ręce jego bowiem zwalała krwawa posoka.

— Krew! — wybełkotał. — Krew płynie... krew sączy się z tego człowieka.

Poczem w chwili, gdy Julia niemal omdlewająca, oparła się o ścianę domku, młody człowiek wydobył kieszonkową lampkę elektryczną i pochylił się znowu nad trupem.

Teraz twarz ofiary, blada i wykrzywiona przedzgonną konwulsyą, ukazała mu się wyraźnie.

Ludwik krzyknął zdławionym głosem:

— Doktor!... To jest doktor Manescault!

— Mój mąż! — jękła Julia.

Ludwik przyglądał się nieszczęśliwemu.

— Tak, doktor.. nie żyje... przerżnięte ma gardło... krew wypłynęła tą okropną raną...

Julia, chwiejąc się cała, przystąpiła bliżej.

— Pobiegnę do zakładu... obudzę lekarza-asystenta... przywiodę go tutaj!

Lecz Ludwik, który szybko zoryentował się w niebezpiecznem dla obojga położeniu, zatrzymał ją.

— Pozostań na miłość Boską!... Pomyśl tylko, co chciałaś uczynić. Pragniesz wzywać pomocy, ależ wzywałabyś napróżno, bo tego nieszczęśliwego już ocalić nie można! Nie żyje... skonał przed chwilą... a ty przecie nie możesz powiedzieć doktorowi Jintot i całemu personalowi zakładu, że znajdowałaś się w parku o tak spóźnionej godzinie. Wezwanie twoje obudziłoby podejrzenia, wywołałoby skandal... Byłabyś shańbioną! Nie oddalaj się stąd pod żadnym pozorem.

Julia zatrzymała się pomięszana i zdumiona.

— Masz poniekąd słuszność, pojmuję to, a jednak nie podobna pozostawić go bez pomocy.

— Powtarzam ci, że umarł. Żaden wysiłek najtroskliwszych starań, żadna wiedza lekarska nie zdoła przywrócić mu życia...

Upadła na kolana i szeptała słabym głosem:

— To okropność!... Co czynić?... Co począć?

Ludwik otarł zimny pot, występujący mu na czoło.

— Pojmuję twoje wzruszenie i dzielę je z tobą, lecz teraz przedewszystkiem o tobie myśleć należy, bronić twojej reputacyi od złośliwości ludzkiej.

— Cóż robić? — powtórzyła zrozpaczona kobieta.

— Wrócić pocichu do domu! Zamknij się w swoim pokoju i udawaj, że nie wiesz nic o dramacie, który tu odkryliśmy w tak fatalnym dla nas momencie...

Julia drgnęła całem ciałem i zawołała z nerwowem rozdrażnieniem:

— Opuścić mego męża, broczącego krwią, nie starając się nawet nieść mu pomocy, nie próbując dowiedzieć się, jak i przez kogo popełnioną została ta okropna zbrodnia?! Nie, nie! to rzecz niemożliwa! Co ma się stać ze mną, niech się stanie... pobiegnę i przywołam...

Lecz w chwili, gdy zwróciła się cała drżąca, by biec ku zakładowi, Ludwik pochwycił ją w pół i zatrzymał.

— Zaklinam cię, Julio, na to, co masz najświętszego, nie popełniaj bezcelowego szaleństwa, które zgubić cię może! Wróć do domu pocichu, poczem ja wymknę się z parku. Nie ulega wątpliwości, że któryś z dozorców spostrzeże wkrótce nieszczęście, podniesie ciało... i prawdopodobnie pochwyci zabójcę, ubezwładniwszy go wprzódy. Nie może nim być kto inny, jak tylko ów szaleniec, przebywający tu, w tym pawilonie. Lecz lada chwila — dodał, cały przejęty obawą, zniżając głos do głuchego szeptu — możemy być spostrzeżeni oboje... Więc, Julio, chodź... uciekajmy stąd!... Nie jesteś w stanie przywrócić życia zmarłemu, więc ocal przynajmniej jego honor a za razem i swoje dobre imię uchroń od skazy... Gdy nas tu znajdą w tym pustym parku, w nocy, nikt nie uwierzy w niewinność naszego stosunku. Wszyscy nas potępią..

Dłuższy czas przemawiał w ten sposób gorąco i czule. W końcu przekonał Julię. Zgodziła się opuścić ciało męża, a dalszy ciąg wypadków tragicznej nocy zdać losowi. Wzruszenie złamało młodą kobietę tak bardzo, że Ludwik musiał ją ciągle podtrzymywać i nieść prawie, wiodąc do domu.

W olbrzymim gmachu zakładu prywatne apartamenty doktorstwa Manescault znajdowały się w jednem z bocznych skrzydeł, na pierwszem piętrze. Narażając się na niebezpieczeństwo, że ktoś ze służby w domu zdrowia spostrzec go może, zatrzymał się Ludwik na tarasie aż do chwili, w której jego ukochana ukazała się w otwartem oknie i dała mu znak, że dostała się do swojej sypialni nie spotkawszy na schodach i w kurytarzach nikogo. Wtedy dopiero młody muzyk, jeszcze wstrząśnięty do głębi dramatem, do którego został wmięszany, oddalił się szybko i wyszedł z parku przez jedną z furtek, od której posiadał klucz, dany mu przez Julię.

Zamiast powrócić do Paryża ostatnim, odchodzącym po północy tramwajem, jak to uczynił po poprzednich odwiedzinach, postanowił spędzić noc w pobliskiej wiosce, żeby w danym razie być bliżej Julii i jeśli tego potrzebować będzie, wesprzeć ją dobrą radą.

— Co jutro przyniesie?... Jakie wrażenie wywoła wieść o tem, co się stało? — myślał przygnębiony moralnie i fizycznie znużony.

Nagle niespodziana myśl, jak błyskawica przeleciała mu przez głowę i wywołała silniejsze bicie serca w piersi.

— Julia jest obecnie wdową!

ROZDZIAŁ II.

Policya w Pawilonie bzów.

Wybiła godzina jedenasta. Guillaume, komisarz policyi w Villeneuve, przybył na miejsce, na którem rozegrał się tej nocy dramat i metodycznie rozpoczął przedwstępne śledztwo. Wysoki, chudy, o suchym długim nosie i zwisłym, siwiejącym wąsie, wyglądał na ex oficera, który dłuższy czas spędził w Afryce. W istocie był dawniej agentem tajnym, cieszącym się niegdyś pewnem uznaniem w prefekturze policyi. Ze względu na osobiste zmartwienia, które w nim oziębiły dobry humor, przeniósł się na obecnie zajmowaną posadę, względnie spokojną i nie wymagającą wielkiej, służbowej gorliwości.

W towarzystwie Mikołaja Sempuisa udał się do wskazanego mu szaletu, noszącego nazwę „Pawilonu bzów". Spojrzał bystro na schody i na futryny drzwi, na których widać było szerokie plamy krwi zaschłej i zczerniałej. Więc zaczął wypytywać naczelnego dozorcę:

— Powiedziałeś mi pan, że obchodząc dziś rano po raz pierwszy zabudowania, należące do domu zdrowia dla obłąkanych, spostrzegłeś tu zakrwawione i stężałe już zwłoki dyrektora zakładu?

— Tak, panie komisarzu. Zaraz potem wszedłem na pierwsze piętro i znalazłem pacyenta, zamieszkującego pawilon, również nieżywego. Leżał w pośrodku, a przy nim zbroczony krwią sztylet, którym prawdopodobnie zabił pana doktora Manescault.

— Gdzie są ciała zamordowanych?

— Ciało waryata pozostało tu, na pierwszem piętrze, a pana dyrektora przenieśliśmy do domu i złożyliśmy na łóżku w jego sypialni.

Guillaume zmarszczył brwi.

— Postąpiliście niewłaściwie, poruszając ciało z miejsca, na którem je znaleziono. Wszak powiedziałeś mi pan, że je spostrzegłeś o godzinie szóstej. Czy tak?

— Tak, panie komisarzu.

— Dlaczegóż dopiero o wpół do jedenastej zostałem o tem zawiadomiony?

— Potraciliśmy głowy w pierwszej chwili, więc nikomu z nas nie przyszło na myśl zawezwać policyi.

— A jednak była to myśl pierwsza, która wobec tego rodzaju zbrodni powinna była zaświtać w głowach waszych.

Stary dozorca machnął ręką.

— Och! proszę pana komisarza, wszakże to wypadek, nie zbrodnia! My wszyscy, którzy mamy do czynienia z waryatami, równie lekarze jak dozorcy, narażeni jesteśmy codziennie na utratę życia. Nieszczęścia tego rodzaju w zakładach do naszego podobnych, przytrafiają się zbyt często, a policya w większej części wypadków nie pojawia się wcale. Tu najprzykszejszem jest to, że tym razem padł ofiarą pan dyrektor... Gdyby to był jeden z nas biedaków, niktby się nie pofatygował, żeby rzecz zbadać, a pozwolenie na pochowanie zwłok byłoby już wydane...

— Ktoby je wydał, postąpiłby źle i byłby za to odpowiedzialny — odparł Guillaume sucho i stanowczo.

Po chwili dodał:

— Komuż więc wreszcie przyszło na myśl zawiadomić mnie o fakcie?

— Doktorowi Jintot.

— Czy to krewny dyrektora Manescault?

— Nie. Jest lekarzem asystentem w zakładzie.

— Dlaczegoż nie stawił się tu, aby mnie przyjąć?

W tej chwili pomiędzy rozmawiającymi pojawiła się wysoka i szeroka sylweta czarno ubranego człowieka.

Przedstawił się sam natychmiast.

— Jestem doktor Jintot. Proszę mi wybaczyć, że kazałem na siebie czekać. Ważne zajęcie zatrzymało mnie w zakładzie.

Był to człowiek o atletycznej, chociaż kształtnej budowie. Miał czarną czuprynę, nieco tylko zbielałą przy skroniach, a w gęstej, równie czarnej brodzie, wiło się kilka siwych włosów. Lica jego były żółtej cery, właściwej ludziom, którzy dłuższy czas spędzili w odległych koloniach, a ciemne oczy połyskiwały gorączkowym blaskiem. Wydawał się nieco starszym, choć liczył dopiero lat trzydzieści osiem. Miał powierzchowność wcale nieposlolitą, a na twarzy jego malowała się inteligencya.

— To nie byle kto! — pomyślał komisarz.

Powtórzył uwagę, zrobioną już poprzednio Mikołajowi.

— Źle się stało, że przed zbadaniem sądowem poruszono i przeniesiono trupa. Dlaczego pan nie sprzeciwiłeś się temu?

Sempuis uprzedził odpowiedź doktora.

— Panie komisarzu, to my, dozorcy, przenieśliśmy ciało, nie czekając na rozkazy pana asystenta.

Doktor Jintot określił rzecz ściślej:

— Ujrzawszy naszych trzech dozorców, niosących ciało mego biednego przyjaciela i przełożonego,

dowiedziałem się dopiero, co się stało. Starałem się zatem naprzód zbadać, czy nie uda mi się przywrócić życia doktorowi Manescault, poczem pośpieszyłem tam, do naszego pacyenta. Następnie wróciłem do zakładu, ażeby zawiadomić wdowę o ciosie, jaki ją dosięgnął, a zarazem wydać nie cierpiące zwłoki rozporządzenia, narzucające się poniekąd same przez się w domu, który uległ zamięszaniu, wywołanemu przez tak tragiczny wypadek, a w którym przecież panować musi porządek, nie znoszący nawet chwilowego rozstroju. W ciągu tych starań i zajęć czas upłynął szybko, nie mogłem więc w rzeczy samej zawiadomić pana wcześniej o smutnem wydarzeniu.

— Czy niema tu nikogo, ktoby pana zastąpił?... A pani Manescault?

Doktor wzruszył ramionami.

— Pani Manescault jest osobą bardzo młodą. Wiadomość o śmierci męża doprowadziła ją niemal do szału... Wszystkie więc obowiązki w danej chwili spadły z natury rzeczy na mnie i ja sam tylko ponoszę winę, że spóźniłem się z zawiadomieniem, co zresztą wyrzuca mi pan ze wszech miar słusznie.

Komisarz, po logicznem usprawiedliwieniu się asystenta, nie chciał widocznie kłaść dalszego nacisku na kwestyę wyjaśnioną, rzekł więc uprzejmym tonem:

— Chciej mi pan pokazać pokój, w którym spełniono zbrodnię i trupa drugiego zmarłego.

Wszyscy trzej razem weszli milcząc na wąskie schody, pokryte dywanem, zbroczonym krwią doktora.

— Proszę otworzyć okiennice i odsłonić zupełnie firanki, bo nie jest tu dość jasno — powiedział Guillaume.

I w chwili, gdy Sempuis spełniał rozkaz, przez niego wydany, szybkim ruchem ręki odsunął doktora Jintot, który się pochylił nad leżącym na podłodze trupem.

— Przepraszam!... Stań pan raczej na prawo, żeby mi nie zasłaniać światła, które tu wpada dość skąpo przez okno z lewej strony.

Doktor żwawo odskoczył na bok.

Urzędnik długo przyglądał się zmarłemu, odzianemu tylko w nocną koszulę.

Nieboszczyk mógł liczyć około lat pięćdziesięciu. Cera jego twarzy, okolonej szpakowatemi faworytami i brodą, była oliwkowa; włosy gęste, twarde i przystrzyżone krótko; brwi krzaczaste i długie. Miał strasznie wykrzywione zsiniałe wargi, a pięści skurczone i zaciśnięte.

— Czem był ten człowiek? — zapytał komisarz.

Doktor odpowiedział:

— Zwał się Emanuel Laborda. Pochodzi z Ameryki południowej. Wszedł do zakładu przed pięciu tygodniami.

— Czy jako waryat?

— Niezupełnie... To jest raczej, nie traktowaliśmy go tu jak waryata... chociaż smutny wypadek stwierdził, że miałem słuszność... i że należało czuwać nad nim równie pilnie, jak nad zwykłymi naszymi chorymi, pozbawionymi zdrowych zmysłów...

— Niech pan raczy wytłómaczyć się jaśniej.

— Laborda wszedł do zakładu z własnej woli, ażeby leczyć się na osłabienie wzroku, które według mojej dyagnozy miało początek newropatyczny, zatem z dnia na dzień groziło przemianą w charakterystyczne pomięszanie zmysłów. Pan dyrektor nie podzielał mego zdania i uważał chorego za zwykłego artretyka. Pojmuje pan, że wobec przełożonego ustąpić musiałem. Dziś jednak żałuję gorzko, że okazałem się zbyt powolnym i służbistym... Gdybym nieco ostrzej obstawał przy wyrażonem przezemnie przekonaniu, ocaliłbym może życie doktorowi Manescault...

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Muszę zwrócić pańską uwagę na dwa fakty, posiadające doniosłe znaczenie. Pierwszym, według mego mniemania, niezmiernie pożałowania godnym był fakt, że Laborda, chociaż nie uważany za obłąkanego, miał jednak przy sobie człowieka, który spełniał przy nim obowiązki raczej służącego, niż dozorcy. Otóż człowiek ten, zwany Maurycym Berthaut, nie spał w szalecie ubiegłej nocy, a w ciągu niej Laborda pozostał sam jeden w swojem mieszkaniu.

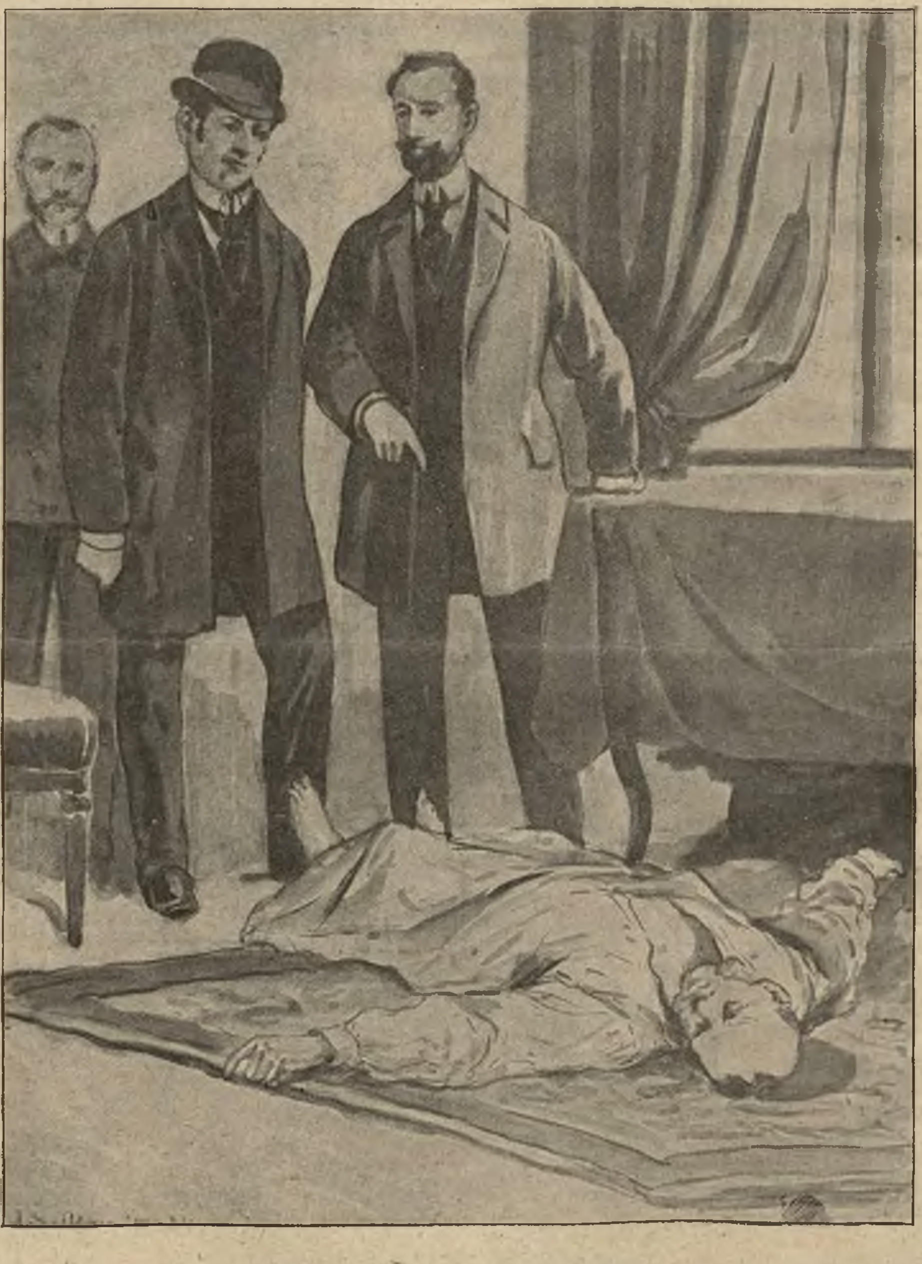
— Gdzież był ten człowiek?

— Pan dyrektor wysłał go po nowego pacyenta i nie zastąpił nikim przy chorym, sądząc, że Laborda nie potrzebuje być poddany jakiemukolwiek bądź nadzorowi.

— A fakt drugi?

— Ważniejszy jeszcze. Ostatniej nocy, gdy we dług zwyczaju, czytając w moim gabinecie, czuwałem do północy, Laborda telefonował... Wszystkie nasze szalety w parku połączone są z gmachem głównym specyalnymi drutami. Zawiadamiał, że jest cierpiący i prosił doktora Manescault o pofatygowanie się do pawilonu... Wiedząc, jak mocno przełożony mój jest znużony, nie chciałem go budzić i sam udałem się do chorego. Pacyent przyjął mnie bardzo źle, z widocznem niezadowoleniem. Wydał mi się niezwykle rozdrażniony. Ponieważ nalegał gwałtownie, aby doktor Manescault sam osobiście go odwiedził, powróciwszy do zakładu zawiadomiłem o tem dyrektora, który natychmiast wstał, ubrał się i pobiegł do szaletu... Nie wyszedł już zeń żywym, niestety!

— Dlaczego nie udałeś się pan z nim razem?



Urzędnik długo przyglądał się zmarłemu.

— Chciałem mu towarzyszyć, lecz nie zgodził się na to stanowczo, chociaż mu oświadczyłem, że chory uległ bardzo podejrzanej irytacyi.

Guillaume potrząsnął głową, jakby potępiał zachowanie się asystenta.

— Opuszczając swego przełożonego, postąpiłeś pan bardzo nieostrożnie, zwłaszcza że wiedziałeś, iż pozostanie sam na sam z waryatem, w pawilonie odosobnionym, pozbawiony możności porozumienia się i zażądania pańskiej pomocy.

Jintot bronił się gorąco.

— Wszakże powiedziałem panu, że doktor Manescault uważał pacyenta za zdrowego na umyśle... Dyrektor w kołach lekarskich cieszył się opinią znakomitego psychiatry i posiadał wieloletnie doświadczenie, ja zaś mylić się mogłem... Zresztą jeśli przypuszczałem, że Laborda zwaryuje, to jednak nie przyszło mi przez myśl, że szał nastąpi tak prędko!... Dodam nadto, że przełożony mój był człowiekiem surowym i bezwzględnym, wymagał od wszystkich najściślejszego zastosowania się do swoich rozkazów.

— Czy nie zaniepokoił się pan, gdy spostrzegłeś że nie wraca?

— Nie polecił mi czekać na siebie, więc udałem się na spoczynek do mego pokoju... on zaś wchodził do pracowni i swojej sypialni osobnemi schodami, służącemi wyłącznie do jego własnego użytku. Nikt nigdy nie wiedział, czy jest czy nie jest obecny w zakładzie.

Guillaume badał znowu trupa, oraz urządzenie pokoju, poczem rzekł powoli:

— Jakżebyś, panie doktorze, odtworzył bieg wypadków?

Jintot machnął ręką.

— O, bardzo łatwo! Po przybyciu doktora, rozdrażnienie chorego zmniejszyło się na chwilę; powróciło jednak po niejakimś czasie. Wtedy mój przełożony musiał nalegać, żeby pacyent położył się w łóżku. Poczem podał mu napój uspakający, którego resztę może pan dostrzec w szklance na stoliczku nocnym. Wreszcie sądząc, że chory odzyskał władze umysłowe i czuje się znacznie lepiej, zamierzał go opuścić. Wówczas... a zwracam pańską uwagę, że napady furyi u waryatów wyrażają się zwykle czynem niespodzianym i nie mającym nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem... Laborda wyskoczył z łóżka, pochwycił sztylet indyjski, który nie wiem dlaczego pozostawiono w jego posiadaniu i w dziki, okrutny sposób zarżnął doktora, którego niegdyś szanował i lubił szczerze.

Guillaume słuchał uważnie, a ani jeden muskuł nie zadrgał na jego twarzy i nie zdradził, co myśli o tem wszystkiem.

— A śmierć waryata w jaki sposób pan tłómaczy? — rzekł spokojnie, bezdźwięcznym głosem.

Doktor Jintot zawahał się widocznie.

— Przypuszczam, że to była apopleksya piorunująca, wywołana prawdopodobnie gwałtownością paroksyzmu. Zresztą rzeczywistą przyczynę zgonu może odkryć tylko sekcya.

Komisarz zaprzeczył poruszeniem głowy.

— Niekoniecznie!... Już teraz, bez sekcyi łatwo jest stwierdzić, że człowiek ten nie umarł naturalną śmiercią... Został uduszony!

Doktor nie wyrzekł ani słowa.

Lecz Mikołaj Sempuis poruszył się żwawo i krzyknął zdziwiony:

— Uduszony!... Ależ przez kogo?

Komisarz spojrzał na Jintota.

— Mój domysł, nie zdaje się zadziwiać pana doktora?

Asystent zamyślił się chwilkę, poczem szepnął:

— W rzeczy samej nie dziwi mnie wcale.

I pochyliwszy się teraz sam z kolei nad trupem, dodał:

— Widać na szyi dwa ślady... leciuchne wprawdzie... lecz niewątpliwe.

Mikołaj przerażony, zawołał znowu:

— Czy podobna?!

— A ślady te — pytał komisarz, zwróciwszy się do lekarza — przez kogo, według pańskiego mniemania, mogły być wyciśnięte?

Jintot odpowiedział natychmiast:

— Przez specyalistę, niezawodnie przez kogoś, pozostającego z waryatami w ciągłem zetknięciu...

Guillaume zdawał się bardzo zainteresowany odpowiedzią.

— Czyżby w istocie?... A co skłania pana do podobnego przypuszczenia?

— Miejsca, w których znajdują się ślady... Każdy lekarz, który ma stale do czynienia z obłąkanymi, albo który odwiedza codziennie jakiegoś waryata, o którym wie, że chce go zamordować, albo przynajmniej skrzywdzić w przykry sposób lub oszpecić... bo i takie zachcianki miewają obłąkani... zna wybornie miejsce na szyi, w którem najlżejszy nacisk sprowadza chwilowe, ale i natychmiastowe uduszenie... i to bez niebezpieczeństwa dla szaleńca, jeśli nacisk nie trwa zbyt długo...

Guillaume przemówił teraz żywo:

— W takim razie w wypadku, który nas zajmuje, sądzisz pan, że doktor, napadnięty znienacka przez furyata, bronił się i nacisnął zbyt silnie?

Lekarz skinął głową.

— Tak!... Tłómaczę to męczarnią i strasznym bólem nieszczęśliwego, któremu waryat musiał już zadać cios sztyletem...

(Dalszy ciąg nastąpi).

„Gwiazda" lwowska.

Jednem z najstarszych towarzystw lwowskich rękodzielniczych jest „Gwiazda", grupująca w gronie swych członków żywioły demokratyczne mieszczańskie. Założona przez grono młodzieży demokratycznej, na której czele stał wówczas głośny później polityk ś. p. Tadeusz Romanowicz, rozwijała się z biegiem lat coraz piękniej i dziś należy do organizacyi bardzo silnych.



Olbrzymi pożar w Wiedniu: Franciszek Schotter, sprawca pożaru.

Niedawno właśnie odbyło się doroczne walne zgromadzenie członków „Gwiazdy" lwowskiej, na którem przyjęto sprawozdanie wydziału z czynności w ubiegłym roku, oraz dokonano wyboru nowego wydziału.

Prezesem obrano z grona kuratorów towarzystwa mecenasa dra T. Dwernickiego, jednym z wiceprezesów zaś dziennikarza p. Antoniego Lecha.

Grupa zamieszczona w dzisiejszym numerze przedstawia nowy wydział „Gwiazdy".



„Gwiazda" lwowska: Adwokat dr. Tadeusz Dwernicki, prezes „Gwiazdy".

Tragiczna śmierć artystki.

Jedna z nadzwyczaj popularnych w Paryżu i lubianych ogólnie artystek dramatycznych, słynna z piękności i szyku, p. Lantelme Edwardsowa, padła przed kilku dniami ofiarą bardzo tragicznego wypadku.

Wypadek ten wydarzył się jej w czasie podróży po Renie, jaką artystka odbywała w towarzystwie męża swego, milionera Edwardsa, na jachcie „Aimés". Oto w pobliżu miejscowości Emmerich uczuła się p. Lantelme niezdrową, więc wyszła na pokład jachtu, celem zaczerpnięcia świeżego powietrza. Wskutek jednak nagłego zawrotu głowy utraciła równowagę i wpadła do wody, której silny prąd porwał ją natychmiast daleko od jachtu, tak iż nawet przy bardzo energicznej akcyi ratunkowej, podjętej na rozkaz zrozpaczonego małżonka, zwłok jej nie można było odnaleść.

Zmarła tragicznie artystka Lantelme należała do najpiękniejszych i najszykowniejszych Paryżanek; uważano ją za królową mody. To też wiadomość



Tragiczna śmierć artystki: S. p. Lantelme-Edwardsowa, artystka dramatyczna.

o jej śmierci wywołała w całym Paryżu a zwłaszcza w kołach artystyczno teatralnych ogromne wrażenie.

S. p. Lantelme rozpoczęła karyerę artystyczno-teatralną przed sześciu laty debiutem w teatrze *Gymnase*, następnie występowała w teatrze Réjane, gdzie święciła wielkie tryumfy.



„Gwiazda" lwowska: Nowy wydział „Gwiazdy". (Fot. M. Münz, Lwów).

Kronika tygodniowa.

Uff! jak gorąco! — choć może w chwili, kiedy czytelnicy czytać będą kronikę, pełen ten boleści okrzyk będzie już nie na miejscu. Może *Jupiter pluvius* wejdzie już w swoje prawa, a łaksawe akwilony przepędzą za góry żar z nieba spadający. Ale w chwili, kiedy rodzi się kronika, w piecu niebieskim napalono tak, jak do pieczenia bab wielkanocnych. Przy 34 stopniach w cieniu każdy i każda z nas smaży się jak na patelni, a jednak dziękuję Bogu, że Celsiusz nie wskazuje 35, 36 lub 38 jak to ma miejsce w tych krajach, którym zazwyczaj (tylko nie dziś) zazdrościmy cieplejszego klimatu.

Jedynie tym upałem, a nie czem innem tłómaczyć sobie mogę gorące starcia w Radzie miejskiej. Jak świat światem, a raczej jak samorząd gminny samorządem gminnym, nie obradowano w takiej porze i przy takim upale nad budżetem miejskim — w tem więc prawdopodobnie tkwi przyczyna, że łagodny z natury radca Daszyński wyprowadzał z cierpliwości siebie i ks. Caputę, a miodopłynny mówca radca Stan. Nowak temuż ks. Capucie przypisywał pedagogofię, czyli belfrożerstwo. O ile mi wiadomo, posądzanie ks. Caputy o takie instynkty niema najmniejszych podstaw, a tylko przeczulona drażliwość prezesa nauczycieli krakowskich wietrzy wszędzie wrogów stanu nauczycielskiego, do czego temuż p. prezesowi dopomaga wrodzona niedokrewność zmysłu orjentacyjnego.

Tylko tym brakiem orjentacyi tłómaczyć sobie należy ową redukcyę świąt, która wywołała tyle hałasu. Kronikarzowi *Nowości illustrowanych* przypada ta chwała, że w krajach zostających pod wyborczą opieką J. E. Bobrzyńskiego, on pierwszy (kronikarz, nie J. E. Bobrzyński) poruszył tę sprawę i poczynił mocne zastrzeżenia co do jej praktyczności. Nie będę powtarzał czytelnikom moich argumentów za utrzymaniem niektórych świąt, a zwłaszcza przeciw ujednodniowieniu Bożego Narodzenia i Wielkanocy, bo powtarzanie dobre jest w szkole, ale nie w kronice — poprzestanę tylko na zaznaczeniu, że opinię moją podzieliły najskrajniejsze obozy. Najsilniej zaprotestowali socyaliści, oświadczając się za nietykalnością świąt katolickich. Okazali, że są *plus catholiques que le pape;* stwierdzili też prawdę maxymy, że pozory mylą. Posądzano ich o niechęć do Kościoła, a oni jak jeden mąż stanęli w obronie katolickich tradycyi. Oni chcą między innemi czcić św. Stanisława w dniu 8. maja w Krakowie, a św. Michała w dniu 29. września na Podgórzu. A cześć ich dla św. Stanisława tembardziej podkreślić należy, ponieważ o świętość tego patrona toczą się od kilkudziesięciu lat znaczne spory, które w ostatniem dziesięcioleciu stworzyły całą bibliotekę i wywołały namiętną dyskusyę.

Żart żartem — socyalistom nie idzie oczywiście o święta katolickie, ale o dni odpoczynku po pracy, których liczba zmniejszyłaby się znacznie w razie ścisłego zastosowania się do tekstu papieskiego *Motu proprio.* Oni chętnie zrezygnowaliby n. p. ze św. Stanisława, gdyby ogół obchodził uroczyście dzień 31. lipca, ale nie jako dzień św. Ignacego Loyoli — lecz jako dzień imienin Ignacego apostoła (nawiasem mówiąc nie mogę zrozumieć, dlaczego poseł Daszyński wybrał sobie takie jezuickie imię). Zgodziliby się również zapewne na zniesienie świętych Piotra i Pawła, a wprowadzenie natomiast do kalendarza święta Marksa i Lassala. Jako patrona Lwowa chętnie widzieliby św. Diamanda. Zamiast dwu dni Zielonych Świątek z przyjemnością obchodziliby dwa pierwsze maje. Jednem słowem, nie brak im chęci zastąpienia świąt katolickich świętami socyalistycznemi, ale jako ludzie praktyczni tolerują „przesądy“, których usunąć nie mogą, a których brak nie byłby im na rękę.

Z innego naturalnie stanowiska zapatruje się na tę sprawę ks. biskup Bandurski. Wprawdzie uznaje on, że motywy, które skłoniły stolicę apostolską do „próby“ redukcyi świąt „są jasne i bardzo racyonalne“, bo przewodzi im myśl zastosowania się do zmienionych warunków rozwoju społecznego, ale wątpi, aby ta sprawa u nas gładko poszła. Może przeprowadzenie postanowienia papieskiego nie spotka się z trudnościami w Anglii, Hiszpanii, Niemczech (co do Niemiec silnie zaznaczył wątpliwość organ centrum *Bayrischer Courrier*), ale „w Galicyi będzie inaczej“ (dodajmy: i wogóle na ziemiach polskich). Biskup Bandurski ma „wrażenie“ n. p., że choćby św. Stanisława przeniesiono na niedzielę, część ludności w dniu 8. maja wstrzyma się od pracy. Może z czasem sprawa ta uregulowałaby się, ale początkowo biskupi liczyćby się musieli „z pewnemi tradycyami ludu i z jego przywiązaniem do pamiątek“. Czcigodny dostojnik Kościoła jest pewny, że „wielka część ludu z niechęcią słuchać będzie, kiedy jej się powie o zniesieniu, względnie przesunięciu niektórych świąt. Zmałe uświadomienie kulturalne będzie tego przyczyną. Lud nie zawsze chce zrozumieć, że postanowienia i przepisy to nie dogmaty“. Podobnie jak dyspenzy w dni postu, pomimo ich ogłoszenia, nie wywołały ogólnego ich przez lud wiejski stosowania, tak i te postanowienia o świętach nie pociągną początkowo za sobą ogółu... „Wprost za złe branoby księdzu, gdyby z ambony ogłosił zniesienie tego, co przez wieki w życie wsiąkło, a nawet to życie regulowało“. W zasadzie ks. biskup uznaje, że zniesienie świąt przyniosłoby dobre wyniki, bo doświadczenie mówi, iż czas przeznaczony na odpoczynek ciała i podniesienie umysłu i duszy nie zawsze był spędzany właściwie, że dawał sposobność do licznych zdrożności — ale bądź co bądź z całości słów czcigodnego księcia Kościoła wynika, że „próba“ redukcyi świąt jest u nas zbyt.. ryzykowna.

Tak czy owak, z tych czy z innych powodów, zgadzają się ze sobą socyaliści, ks. biskup Bandurski i kronikarz *Nowości*. Ten ostatni do swoich argumentów dodaje jeszcze parę punktów. Punkt pierwszy: handel i przemysł katolicki, dla którego dobra liczba świąt ma być zmniejszona, zasługują rzeczywiście na opiekę, ale na jednego handlującego lub przemysłowca katolika, jest na świecie conajmniej 50 robotników katolików, a u nas bodaj czy nie więcej jak setka (za robotnika uważam zarówno parobka, jak profesora uniwersytetu) — więc proporcyonalnie biorąc, sto razy więcej ich dobro na sercu leżeć powinno. Punkt drugi: reformy tego rodzaju dają się przeprowadzać tylko stopniowo, powoli. Gdyby n. p. ogłoszono, że Niepokalane poczęcie N. M. P. z dnia 8. grudnia przenosi się na najbliższą niedzielę i również „uniedziela się“ dzień św. Piotra i Pawła, to taka redukcya aniby zdziwiła, aniby wywoła opozycyę. Po kilkunastu latach dałoby się również parę świąt przenieść na niedzielę, i w ten sposób bez żadnych wstrząśnień tryumfowałby zarazem handel i przemysł katolicki nad... robotnikami. Punkt trzeci: ogłoszenie, że w drugie święto Bożego Narodzenia, Wielkanocy i Zesłania Ducha św. nie jest obowiązującem wysłuchanie mszy św. będzie miało conajmniej ten skutek, że w owe dni ludzie nie pójdą do kościoła, ale pójdą do szynku — a inni ani tu, ani tam nie pójdą, ale świętować będą i do pracy nie staną.

Są zresztą rozmaite prace: pożyteczne, szkodliwe i... nijakie. Tej ostatniej oddawał się zmarły przed tygodniem ks. Schleyer, wynalazca volapüku. Przeżył on swój wynalazek, o którym nowe pokolenie ani słyszało. Ale przed czterdziestu laty wielbiciele wszelkich „nowostek“, zachwycali się pomysłem zmarłego, który pod nazwą volapüku chciał zaprowadzić język międzynarodowy, wspólny dla wszystkich ludów, jako środek porozumiewania się. Sztuczny pomysł, sztuczny język, naturalny był tylko jego upadek. Bo każdy język sztuczny dopóty chwilowo żyć będzie, dopóki ktoś nie wytworzy języka sztuczniejszego. Zginął volapük, bo dr. Zamenhof wydał na świat esperanto o formach lepszych od volapüku. Obecnie esperanto ma już wroga w języku *ido* — który z nich zwycięży, niewiadomo, ale już po latach kilku lub kilkunastu znajdzie się nowy twórca sztucznego języka i będzie także miał zwolenników. Ale zawsze najwięcej ten zyska, kto się nauczy jednego z żyjących, a najwięcej upowszechnionych języków, jak np. francuskiego, niemieckiego, angielskiego. Z jednym z nich cały świat przejedziesz, nie potrzebując poszukiwać dopiero esperantysty. Co więcej, każdy z nich otwiera ci podwoje wielkiej literatury, a w najpoślejszym końcu świata dostarczą ci dzienników, z których czerpiesz wszelkiego rodzaju potrzebne ci lub zaspakajające twą ciekawość wiadomości. Zabawka esperancka tego ci dać nie może.

Jako argument za esperantem ma przemawiać łatwość jego nauczenia się. Zapewne, ale kto sobie zadaje trud wyuczenia się w ciągu roku esperanta (prędzej nim dobrze nie owładniesz), niech popracuje jeszcze kilka miesięcy więcej dla przyswojenia sobie jednego z przytoczonych języków, a pożytek sto razy większy odniesie. Bo ktoby z nas, licząc na pieniądze, nie wolał np. gdyby to było dla niego możliwe, pracować dwa lata dla zdobycia 100 000 koron, niż rok jeden dla ujrzenia w swej kieszeni już nie tysiąca, ale choćby nawet 10 tysięcy sztuk tej szlachetnej jednostki monetarnej. Zresztą i owa łatwość nauczenia się esperanta istnieje w rzeczywistości jedynie dla ludów romańskich, lub dla tych, co znają język łaciński, francuski, włoski, z których dr. Zamenhof utworzył swój język sztuczny. Dla Niemca, Anglika, Słowianina, nie władającego żadnym romańskim językiem, lub nieznającego łaciny, każdy wyraz esperancki jest wyrazem nowym. Jestto zatem ściśle biorąc sztuczny język romański. A jeden z największych filologów romańskich, Remy de Gourmont, nazwał go wprost „nonsensem, jakim jest każdy język sztuczny“. Jeden zaś z wielkich pisarzy francuskich (zdaje mi się Prevost) oświadczył, że ten język obraża jego uczucia, ponieważ widzi w nim podrzeźnianie, karykaturę francuskiego języka.

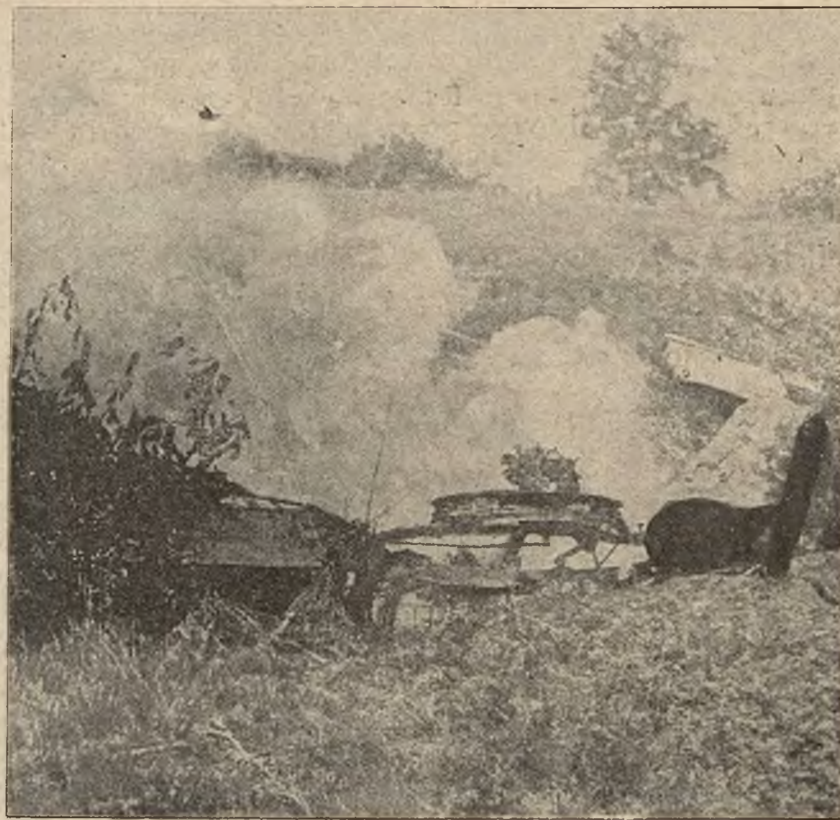
Ponieważ esperanto uznano za środek porozumiewania się między ludami romańskimi, nic więc dziwnego, iż amatorzy sztucznych języków zabrali się do roboty nad wytworzeniem esperanta słowiańskiego. Niedawno Czech, prof. Hošek, ogłosił gramatykę takiego języka wspólnego dla Słowian austryackich, a świeżo z nowym projektem wystąpił w Brukseli znany slawista dr. Henri Bourgeois w broszurze swojej: *La question du neo slave.* Ów nowosłowiański język opiera się głównie na zmodernizowanym języku cerkiewnym, z użyciem abecadła łacińskiego. Za przykładem esperanta p. Bourgeois daje stałe końcówki rzeczownikom i przymiotnikom, na oznaczenie przypadków używa przyimków, stopniuje przez dodanie „bolje“ i „najbolje“ (więcej i najwięcej), koniugacye skraca do minimum. „Idź w świat — woła — dziecię me, płodzie długiej pracy, aczkolwiek poczęty w chwili entuzyazmu... Widzę przed tobą wielką karyerę. Patrz na niezmierzone obszary od Łaby do Wołgi, od Oceanu lodowatego do Morza egejskiego. Patrz na te narody niezliczone, co to za siła, co to za potęga nieczynna! Twoją rzeczą będzie wetchnąć w nie duszę“. Szczęśliwi zaiste ci Słowianie — nauczą się tylko esperanta nowosłowiańskiego, a powstaną z niemocy, z nieczynu. Tak mało im potrzeba! Ciekawa przytem to rzecz zaiste, że Francuz chce nas, Słowian, uszczęśliwić nowym językiem, tak jak dr. Zamenhof, uszczęśliwił już ludy romańskie swym esperantem. A będzie o nim mówił na kongresie ras w Londynie, w sekcyi, w której miał przewodniczyć rabin londyński dr. Adler — ale nie doczekał tej chwili i przed dwoma tygodniami przeniósł się do wieczności, gdzie zapewne esperanta nie używają.

Znamiennem jest, że do esperanta największy pociąg mają żydzi, nie dlatego zapewne, że żyd go wynalazł, ale dlatego, że od wieków używają już pewnego esperanta, bo mieszaniny języka niemieckiego z językami ludności miejscowej, o czem szerzej dwa tygodnie temu wspominałem w mojej kronice (nr. 29 *Nowości*). Odbieram też pewnego rodzaju wrażenie, że głównym celem esperanta jest usunięcie żargonu i połączenie językowe żydów za pomocą sztucznego, ulepszonego fabrykatu.

Na zakończenie kroniki mógłbym zaśpiewać: „O cześć wam panowie, magnaci“, jeżeli to prawda, co pisze *Goniec* warszawski. Podaje on trzy fakty z działalności społecznej naszych magnatów. Pierwszy, potwierdzony zresztą już przez inne pisma, to sprzedaż w obce ręce Berżan na Litwie przez hrabiego Stanisława Czapskiego, który, kiedy o zamiarze tej sprzedaży przed pół rokiem głoszono, oburzał się i groził procesem „kalumniatorom“. Fakt drugi: książę M. Radziwiłł, młodziutki adjutant Kuropatkina na wojnie japońskiej, ożeniony z leciwą lecz bogatą wdową po hr. L. Krasińskim, usunął Polaków z administracyi i dzierżaw w swych dobrach Kuchcice w pow. ihumeńskim. Fakt trzeci tyczy się również Radziwiłła, ale innego, Stanisława. Pan ten, syn ks. Antoniego, przyjaciela Wilhelma I, objąwszy ordynacyę Dawidgródzką w pow. pińskim i liczne dobra t. zw. alodyalne, usunął rządców Polaków i sprowadził na ich miejsce... Prusaków. Od pewnego czasu w tym odłamie radziwiłłowszczyzny panuje wszechwładnie język niemiecki... Więc czy niesłusznie byłoby zawołać: O cześć wam panowie, magnaci!



Śmierć podczas wyścigów: Maurycy Fourniere z mechanikiem na samochodzie na chwilę przed wyścigami.



Śmierć podczas wyścigów: Szczątki rozbitego automobilu Fourniere'a.

Chińskie przysmaki.

Niejednokrotnie słyszy się i czyta w opisach podróży po Indyach i Chinach o jaskółczych gniazdach, które stanowią ulubiony przysmak tamtejszej ludności. Jedni z czytelników wierzą temu, inni powątpiewająco kiwają głowami, wspominając sobie gniazda naszych poczciwych jaskółek, ulepione z błota, tak przecież jedni, jak i drudzy, nie zdecydowaliby się na skosztowanie tego egzotycznego przysmaku.



Chińskie przysmaki: Mieszkańcy archipelagu sundajskiego w poszukiwaniu za gniazdami salangan.

Salangana, spokrewniona blisko z naszą jaskółką, należy do rodziny ręczyńców, odznacza się zaś długiemi skrzydłami i lekko wyciętym ogonem. Dziób ma mały, nogi bardzo słabe. Istnieje ich kilka odmian, jedna z nich, salangana jadalna (*Collocalia esculenta s. nidifica*) żyje na wyspach archipelagu sundajskiego i w Indostanie. Jest to ptaszek dochodzący zaledwie do piętnastu centymetrów długości, rozpiętość jej skrzydełek wynosi około trzydziestu centymetrów, ubarwiona jest brunatno szaro z metalicznym połyskiem. Lata nadzwyczaj szybko, karmi się owadami.

Budują one gniazda swe w ten sposób, że przyczepiają je do prostopadłych ścian skalnych, w miejscach o ile możności jak najmniej dostępnych, aby w ten sposób zabezpieczyć je przed krajowcami, którzy urządzają na nie formalne obławy. Kształtem przypomina gniazdo ćwierć powierzchni kuli, średnica jego wynosi około sześciu centymetrów, ciężar dochodzi do dziesięciu gramów. Splecione są z rozmaitych delikatnych wodorostów, spojonych ze sobą śluzowatą wydzieliną gruczołów ślinowych salangan, która w porze gnieżdżenia się jest bardzo lepką i obfitą, jednem słowem tak wyglądem swym, jak i sposobem powstawania przypominają zupełnie gniazda naszych jaskółek oknówek i dymówek.



Nowa afera byłej hr. Montignoso: Była następczyni tronu saskiego, której pamiętniki mają w tych dniach opuścić prasę drukarską.

Gniazda te, uwolnione od wyścielającego je puchu

i innych nieczystości, przypominają zupełnie klejo watą masę, przyrządzone zaś z rozmaitymi korzeniami stanowią u Chińczyków i Indów ulubiony przysmak podniecający. Gotowane w wodzie dają masę galaretowatą mdłego smaku. Stanowią one ważny przedmiot handlu i płacą się w Kantonie od 18 do 24 piastrów hiszpańskich za pół kilograma. Z samej Jawy wywozi się ich rocznie ponad ośmdziesiąt tysięcy kilogramów, co odpowiada około ośmiu milionom gniazd.

Poszukiwanie gniazd salangan, jak to widać z dołączonej illustracyi, jest bardzo niebezpieczne, stanowi zaś jedno z głównych zajęć miejscowej ludności.

Smierć podczas wyścigów.

Doroczny francuski wyścig automobilowy o „Grand Prix de Sarthe", w którym wzięło udział 14 współzawodników, zakończył się tym razem bardzo nieszczęśliwie, bo śmiercią znanego automobilisty Maurycego Fourniere'a, brata Henryka, zwycięscy wyścigu z Paryża do Berlina.

Droga, przeznaczona na wyścig, tworzyła trójkąt w stronie południowo zachodniej od miasta Le Mans. Należało ten trójkąt 12 razy przebyć, co razem dawało przestrzeń 648 klm 7.0 m. Fourniere'owi wydarzyła się katastrofa przy szóstem okrążeniu. Chciał mianowicie dopędzić późniejszego zwycięscę Hemery'ego, nagle jednak pękła przednia oś wozu, wskutek czego automobil się wywrócił, przygniatając Fourniera. Oczywista rzecz, że z pod wozu wydobyto już tylko zwłoki automobilisty; mechanik jego odniósł ciężkie rany.

Hemery, który przebył całą przestrzeń w 7 g. 6 m., jechał na wozie „Fiat" o sile 90 HP.

Na rycinie naszej widzimy ofiarę katastrofy Fourniere'a z mechanikiem na samochodzie w chwili startu, na drugiej resztki rozbitego wozu.

Nowa afera byłej hrabiny Montignoso.

Była następczyni tronu saskiego, później hrabina Montignoso, wreszcie pani Toselli, przypomina się od czasu do czasu światu, jak gdyby nie mogła wytrzymać, jeśliby o niej nie mówiono i nie pisano. Zaledwie zaprzestano zajmować się historyą jej awantur miłosnych, znowu pojawia się na horyzoncie europejskim, tym razem jako autorka sensa-



Koniec sezonu operowego w Krakowie: Stanisława Makusz-Siebauerowa.

cyjnych rewelacyi z dworu saskiego, które mają wyjść niebawem nakładem pewnej firmy wydawniczej angielskiej. Byłej królowej nie przysporzą one z pewnością sławy, wydawca w każdym razie zrobi na tem doskonały interes, zwłaszcza że książka zakazana jest w Niemczech, a to zwiększa popyt za nią.

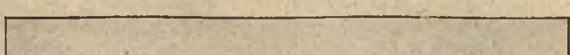
Jedno z pism włoskich podaje nieco wyjątków z sensacyjnych pamiętników. Zaczynają się one opisem romantycznej ucieczki wielko książęcej rodziny toskańskiej z Florencyi po podpisaniu pokoju w Villafranca, następnie kreśli autorka swe życie na zamku salcburskim wśród nieznośnej atmosfery i etykiety dworskiej, z pod której pragnęła się zawsze wyłamać i już jako pietnastoletnia dziewczynka przez pedantyczne nauczycielki i przeczulone damy pałacowe uważaną była za rewolucyonistkę. Gdy jej zaproponowano wyjście za mąż za następcę tronu saskiego, zgodziła się natychmiast; wzięłaby pierwszego lepszego, byleby żyć z daleka od znienawidzonego środowiska. Zawiodła się jednak na swym małżonku, o którym wyraża się bardzo ujemnie, tak samo i o jego ś. p. ojcu.

Z poddaniem się znosiła przykry los, jedyną przyjemność znajdując w zbieraniu owadów, twierdzi przecież, że poza murami pałacu królewskiego cieszyła się ogromną popularnością. W r. 1902 zaostrzyły się stosunki do tego stopnia, iż zmuszoną była potajemnie opuścić dwór saski i w towarzystwie nauczyciela języka francuskiego Girona udać się do Szwajcaryi. Tutaj miała się zatrzymać u swego brata, arcyksięcia Leopolda (później Wölflinga), który ofiarował jej u siebie gościnę, po przybyciu jednak na miejsce dowiedziała się, że brat utrzymuje stosunek z panną Adamowicz, co uniemożliwiało jej pobyt pod tym dachem.

Wyświetla również, dlaczego oddała się pod opiekę Girona. Twierdzi mianowicie, iż w Szwajcaryi musiała się postarać o jakąś męską opiekę, obawiając się uprowadzenia do Niemiec. On jeden wydawał się jej najodpowiedniejszym, gdyż zawsze okazywał jej niekłamaną życzliwość. Mając do wyboru pomiędzy domem waryatów a skandalem, wolała wybrać to ostatnie!...

Koniec sezonu operowego w Krakowie.

Ostatni tydzień pobytu lwowskiej opery i operetki w teatrze krakowskim, przyniósł szereg występów znakomitego artysty-śpiewaka Adama Di-



Koniec sezonu operowego w Krakowie: Wanda Hendrichówna.



Operetka lwowska: Eugeniusz Koszutski i Czesława Burkacka.

dura. Występy te przyczyniły się w znacznej mierze do ożywienia końca sezonu, nadto dały sposobność publiczności krakowskiej do usłyszenia zapomnianej już opery czeskiego kompozytora Smetany p. t. „Sprzedana narzeczona“. Didur w roli swata Kiecala zachwycił i porwał słuchaczów zarówno



Koniec sezonu operowego w Krakowie: Ludwika Blumentalówna.

wspaniałym swym basem, jak nadzwyczaj interesującą grą aktorską.

Obok Didura wysunęła się na czoło ansamblu sympatyczna sopranistka p. Wanda Hendrichówna, dawna znajoma publiczności krakowskiej. Zarówno w tej roli, jak w „Mignon“, jak w „Fauście“ jako Małgorzata, rozwinęła utalentowana śpiewaczka całe bogactwo prześlicznego swego, pełnego dźwięku i siły głosu. Także za sceniczne opracowanie wszystkich ról i za wzorową dykcyę należą się p. Hendrichównej wyrazy szczerego uznania.

W roli Rozyny w „Cyruliku sewilskim“ wystąpiła z Didurem p. Makusz Siebauerowa, śpiewaczka koloraturowa, obdarzona dźwięcznym, choć niewielkim głosem, osoba miłej powierzchowności, wybitnie muzykalna. Prócz Rozyny, śpiewała p. Siebauerowa z dużem powodzeniem kilka innych partyi, między temi Filinę w „Mignon“, Lygię w „Quo Vadis“ i Gildę w „Rigolecie“.

Operetka na zakończenie sezonu uraczyła nas dość słabym utworem Falla „Dziewczyna z lalką“; bohaterkami jej są pp. Miłowska, pełna humoru i żywiołowego temperamentu, oraz młodziutka śpiewaczka p. L. Blumentalówna, o której pięknym głosie pisaliśmy w poprzednim numerze, a której portret dziś przynosimy.

Obok tego zamieszczamy dziś portrety śpiewaczek pp. Wandy Hendrichówny i Makusz Siebauerowej, oraz sympatycznej pary baletowej, Czesławy Burkackiej i Eugeniusza Koszutskiego.

Kącik humorystyczny.

Et respice finem!...

— Mamusiu! Wczoraj słyszałem na własne uszy, jak tatuś mówił do pana Władysława, że takiej kobiety, jak mamusia, to niema drugiej na świecie!

— Czy może być!... Poczciwy stary!... Masz tu mój synku ciasteczko!...

— Ale na końcu dodał, że to prawdziwe szczęście, gdyby bowiem było inaczej, to trudnoby było wytrzymać!

Nieporozumienie.

— Podstawą mojego dzisiejszego majątku była oszczędność! Mój Boże, ile ja to pieniędzy oszczędziłem na biletach tramwajowych!

— Tak, dawniej to było możebnem, a nie dziś! Teraz jest tylu kontrolorów, że człowiek nie potrafi się już przemycić bez biletu!

W kuchni.

(Dramat w jednej odsłonie, nagrodzony na konkursie Wydziału Krajowego).

OSOBY: Pani radczyni
Kasia, nowa kucharka.

Pani radczyni: Kasiu! To jednak ciekawe, gdzie podziewają się zawsze resztki pieczeni, która pozostaje z obiadu?...

Kasia (z uczuciem): O! pani radczyni chyba nigdy nie kochała!...

Krakowski handel sztuki.

Artysta malarz: Co? Jacek Malczewski zażądał od pana dobrodzieja tysiąc koron za taki obrazek? Panie, ja panu zrobię taki sam za połowę ceny... będzie naturalnie i podpis Malczewskiego... Albo może pan woli Kossaka?... Mnie wszystko jedno!

Pierwszy pacyent.

Do drzwi młodego lekarza, który wczoraj dopiero odbył promocyę doktorską, a dziś rano rozpoczął praktykę i oczekuje pierwszego pacyenta, dzwoni jakiś poczciwy wieśniak i prosi o poradę.

Pan doktor bada go dokładnie i przepisuje lekarstwo, wręczając jednak receptę, pyta z ciekawością:

— A cóż was skłoniło, mój człowieku, że szukacie u mnie porady?

— A bo proszę łaski pana konseliorza w sklepiku naprzeciwko powiedzieli mi, że pon doktór jest jedynym lekarzem w Krakowie, któremu ani jeden pacyent dotąd nie umarł! — odpowiada poczciwina.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 29.

Zagadka: Kat, tak, akt.

Logogryf:

M
L e n
M n i c h
N a p r z ó d
Z a o c e a n e m
P r z e d z i s ł a w
T r a p e z o l o g i o n
K a p r i f o l i u m
S y l l o g i z m
B a r w n i k
G l i n a
A c h
Z

Zadanie do przestawienia: Modli się pod figurą, a ma dyabła za skórą.

Trójkąt magiczny:

P a d e r e w s k i
A d a m a s z e k
D ą b r ó w k a
E l e k t r a
R a g u z a
E p o k a
W i c i
S a n
K u

Logogryf:

S k a w i n a
S k o l e
M i k u l i ń c e
K u l p a r k ó w
K l i m i e c
K a l i n ó w
K o r e z ó w
C h o c h o ł ó w
K r a k o w i e c
Z a w ó j
S t r a ż ó w

Zadanie do przestawienia: Śmiałemu szczęście dopomaga

Szarada: Lipa

Szarada: Kurony

Łamigłówka:

W y k a
w y t r y c h
w i ś t a
c o k ó ł
m i r o s ł a w
a g a w a
i s i s
w r e d e

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: C. Lipiński Zakopane, J. Michalski Sambor, O. Górkowa Chyrów, J. Bandrowski Częstochowa, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, D. Ergelberg Rzeszów, C. Wang Tarnobrzeg, M. Planecka Kraków. F. Gebhardt Kraków, D. Sedyńska Zakopane, J. Lipski Kraków, H. Bernstein Warszawa, J. Frankowicz Jasło, J. Jakubowska Kraków, R. Knapik Tarnopol, J. Kopczyńska Bierzanów, M. Wojkowski Bohorodczany, I Brzostowski Krosno, J. Strojek Podgórze, M. Lewicka Kraków, Z. Radziński Rzeszów, M. Więckowska Piotrków, J. Świrski Sambor, F. Horak Oświęcim, T. Nikiel Wiedeń, K. Kaim Warszawa, S. Kowalówka Kraków, M. Kwaśniewski Skierniewice, J. Czarkowski Stryj, K. Michalski Jaworów, D. Łapiński Kraków, R. Dąbrowski Janów, K. Broda Drohobycz, A Serwatowska Warszawa, J. Przeworski Toruń, T. Mazaraki Radom. J. Trepka Sandomierz, K. Thun Warszawa, M. Popiel Rzeszów, H. Łopatyńska Lwów, J. Zielińska Rzeszów, J Czernecki Złoczów, K. Armatys Kołomyja, J. Radoszewski Mielec, W. Dziedzic Kraków, A. Augustynowicz Kraków, B Michalec Świątniki, K. Zerygiewicz Stanisławów, J. Ryś Rzeszów, M. Gruszczyńska Sambor, J. Stępień Budapeszt, K. Schmidt Lwów, W. Kaliszewski Petersburg, M. Ciesielski Poznań. K Lisowski Kołomyja, M Sontag Piotrków, W. Laurecki Rzeszów, J. Lemiszewski Stanisławów, M. Antosz Kołomyja, W. Włodek Warszawa, K. Sadowska Skierniewice, J. Malinowska Winnica, R. Czechowicz Tarnów, J. Darowski Petersburg. M. Kalinowska Sambor, H Rosenbaum Mielec, S Kaniowski Tarnobrzeg, J. Leszczyński Sanok, D. Krasowski Poznań. S Krogulski Warszawa, W. Lipowski Jasło, J. Wojciechowski Sanok, Z Kisielewski Rzeszów, K. Armatowicz Petersburg, M. Glińska Stanisławów, S. Hubaczek Lwów, M. Bielawska Radomyśl, Z. Potocka Kraków, H. Gromnicka Lwów, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnobrzeg, S Bukowski Kijów, J Maciejowska Sandomierz, J Jahoda Cieszyn, H Piątek Podwołoczyska, K Wilczkiewicz Sandomierz, W. Radwański Warszawa, K Trojacki Wiedeń, L. Sapecki Szczawnica, J Karaś Zakopane, W. Urban Lwów, M. Kruszelnicka Tarnów, K. Sawlińska Przemyśl, K. Ciszewski Radomyśl, S Dzierzyński Zakopane, M. Zięba Sanok, J. Łopatkiewicz Jasło, H Pick Łódź, J Ostrowski Czerniowce, H Lindenbaum Stanisławów, F. Jeziorski Krynica, S Krzyżanowski Podgórze, S. Cegiecki Lwów, K. Szumańska Rawa Ruska, K Fuchs Czeremchów, M. Arbesbauer Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **K. Sawlińska Przemyśl.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal na koszta poleconej przesyłki

Ze świata kobiecego.

Trudno jest pisać kronikę mody w chwili, gdy moda sezonu zdawna jest ustaloną, a nowy sezon w dalekiem jeszcze polu, zwłaszcza też gdy się postawiło sobie za zadanie informować Czytelniczki dokładnie o tem, co niesie z sobą moda, informować je *sans phrase*, bez krasomówczych dodatków i wycieczek w inne dziedziny życia. A takiem jest właśnie przedewszystkiem z góry postawione



Nr. 1. Suknia na reuniony: spód z blado-różowej liberty, wierzch z błękitnego tiulu zahaftowanego w perełki *claire de lune*.

mi zadanie. Wiem, że Czytelniczki oczekują odemnie głównie informacyi w kierunku tego, co modne, co praktyczne, co dzień niesie w przedmiocie podniesienia przyrodzonych wdzięków. Wprawdzie na początku sezonu panie zaopatrzyły się przeważnie we wszystko co im było potrzebne, wprawdzie w zasadzie w początku sierpnia nic się już nie sprawia — ale ta i owa powraca z wód, gdzie wyczerpał się cały zapas toalet: to i owo trzeba odświeżyć, to i owo uzupełnić, aby przetrwać, zanim nadejdzie ścisły sezon jesienny, w eleganckim rynsztunku. Inne znów wybierają się dopiero na sierpień nad morze lub w góry zwłaszcza, gdzie brzask jesieni bywa najpiękniejszą zazwyczaj porą; więc nie dziw, że od swej sprawozdawczyni mają prawo wymagać dobrej rady w kwestyi tych przygotowań lub uzupełnień toalety.

W obecnej chwili Paryż przyjął głównie dwa hasła: jednem jest tak powszechnem cieszący się od wiosny już uznaniem kostium *tailleur* o wąskiej dwubrytowej spódniczce z bocznymi szwami; drugiem nader prosta w stylu *empire* suknia, złożona przeważnie z dwu kolorów, niezmiernie krótka, bo odsłaniająca całą nogę, o podniesionym w górę staniku i tunice dochodzącej do kolan; tunika ta dochodzi draperyą grecką, w rodzaju *peplum*, do połowy stanika, przewiązana powyżej pasa jedwabnym sznurem.

Otóż dwa te prototypy dzierżą w tegorocznym sezonie berło. Co do modnych kolorów, to Paryż głównie, jak zwykle iście po parysku, prostymi środkami osiąga efekt. Najmodniejszemi są suknie granatowe, żywszych i ciemniejszych odcieni z wykładami i klapami białemi u paltocików, łatwo dającemi się oddzielić od kostyumu, celem ich odczyszczenia. Kostyumy takie robią się z szewiotu, jedwabnego kaszmiru *doublé*, tafty lub płótna z klapami, kołnierzem i sztylpami rękawów z białego sukna, atłasu, jedwabnego rypsu lub płótna. Do tego zazwyczaj nosi się biały kapelusz lub granatowy z białym przystrojem i pantofelki w połowie z czarnego lakierka, w połowie złożone z rodzaju kamasza z białej skóry, z boku na guziczki zapiętego, oczywiście z białą w górze *(o, horror!)* pończoszką, która stanowi *dernier cri* mody. Do takiego kostyumu dostosowuje się białą parasolkę i białe rękawiczki o szerokich czarnych z wierzchu naszywkach.

Nieodłącznym od kostyumu *trotteur* jest szeroki, długi żabot plisowany, z jednostronnym przystrojem z koronki lub haftu. Najodpowiedniejszą do tego rodzaju żabotów jest koronka irlandzka; w górze przypina się go długą na 10—15 cm. agrafką, zestawioną z rzędu rubinków, szafirów lub brylancików, prawdziwych lub wreszcie imitowanych, co tego roku nie jest uważane bynajmniej za „zły ton". Chodzi o to tylko „kto, jak i gdzie" kładzie tego rodzaju ozdobę. Na ulicę, do prostej bluzki użyta stanowi „szyk" — do sukni balowej przystosowana trąci mocno prowincyą.

Czarne jedwabne lub z atłasu *doublé* kostyumy są *de rigeur*, muszą jednak mieć żakiecik tak zwany francuski, fantastyczniejszy od surowych w swym kroju angielskich, po większej części ścinany z przodu do boków.

Ogromnie modne są także białe z *linon* lub koronek wykonane chusteczki, zwłaszcza t. zw. *fichu Marie Antoinette* skrzyżowane na piersiach. Obok paletotów pojawiają się często także bolera, z coraz bardziej frakowem zakończeniem; moda, która się niezawodnie i w ciągu jesieni utrzyma w zastosowaniu do kostyumów, używanych na miasto.

Co się tyczy kapeluszy, to wbrew przyjętej zazwyczaj zasadzie jasnego kapelusza na lato, w tym sezonie, mimo tak gwałtownie dokuczających upałów, prócz panam, noszonych najwięcej na plaży morskiej, z welonem, którego zręczne upięcie stanowi całą ozdobę, nosi się dotąd najwięcej czarne kapelusze, najrozmaitszej wielkości i fasonu, od olbrzymich ukwieconych fantastycznie do szpiczastych, pokrywających całą fryzurę z wielkim pióropuszem piór *pleureuse*.

Nowością praktyczną w tym sezonie są paryskie kapelusze z delikatnej ale grubo plecionej słomki, dające się najswobodniej składać, co w pakunku podróżnym pozwala pominąć tak nieodzowne dotąd, wielkie jak gniazdo bocianie, łubiane pudło na kapelusze, wywołujące zawsze istną burzę ze strony współpasażerów. Takich składanych paryskich kapelusików można doskonale pomieścić kilka w jednem niewielkiem pudełku; przystrój cały jego stanowi jakaś kokarda, rozeta lub fantastyczne pióro, t. zw. paletka ze słomki, a wreszcie ozdobna egretka połyskliwa z niteczek szklanych. Do młodocianych twarzyczek bezpretencyonalne te kapelusze dziwnie się nadają podnosząc jeszcze wdzięk ich i świeżość.

Mora...



Nr. 2 Kostyum spacerowy z lekkiego wełnianego woalu przyozdobiony bretońskim haftem.

Z półek księgarskich.

Macierz Polska dzięki zwiększającym się stale zastępom czytelników jej dziełek przyspieszyła znacznie tempo swych wydawnictw.

W ostatnich tygodniach pojawiły się trzy książeczki Macierzy, wszystkie bogato illustrowane. Dla sfer szerokich przeznaczone jest dziełko znakomitego popularyzatora Władysława Bełzy p. t. Z odległej przeszłości. Mieści się tu dziewięć barwnych i niezmiernie zajmujących opowiadań, poprzedzonych rodzajem wstępu, zatytułowanym „Swiat legendowy Polski". Bo też wszystkie opowieści to legendy lub na poły legendy, dobyte ze skarbca tradycyi ludowej i narodowej (96 stron druku, 6 rycin, cena 40 hal.). Inne znaczenie mają Jakóba Bojki „Ostruszyny z Gremboszowa". Jest to monografia wsi rodzinnej autora, opracowana z wielką starannością Szczególnie interesujące są w niej rozdziały mówiące o rolnictwie, rzemiośle i przednowkach, o domach i sprzętach, o chorobach i ich leczeniu (stron 112, rycin 14) Miłośnikom przeszłości poświęcona jest książeczka p. Maryi Sandozównej p. t. Melsztyn. Są to dzieje zamku i jego właścicieli. obok tego jednak nie poskąpiła autorka opisów miejsc pamiątkowych w okolicy: pustelni św. Swirada, św. Urbana i św. Justa. W tok opowiadania wplecione liczne legendy i podania miejscowe (stron 118, rycin 11, cena 80 hal).

Od początku b r. wychodzi pod redakcyą Dra. Zygmunta Mandla „Słowo prawnicze" miesięcznik poświęcony sprawom zawodów prawniczych „Słowo prawnicze" obfituje w bogatą i zajmującą treść, gdyż znajdujemy w nim artykuły: **Zmiana przepisów o postępowaniu rewizyjnem** napisał J. Ptaś radca sądu i poseł do Rady państwa. **Instytut uniwersytecki** napisał Dr Jan Sperl prof. uniw. wiedeńskiego. **Prasa a przysięgli** napisał prof. Dr. Juliusz Makarewicz. **Zjazdy prawnicze** Dr E Till prof. uniw. Dr. Zelliun prof uniw Dr. Makarewicz prof Dr. Fierich prof uniw. Eksc. Tchorznicki prez. sądu. Nadto w każdym numerze zajmująca kronika z życia prawniczego w kraju

PARYSKIE GADY.

68

Amerykanin zrobił niewyraźny ruch ręką. Ani nie pochwalał, ani nie ganił tej wizyty. W każdym razie nie chciał wpływać na młodą pannę.

— Tak, to mój obowiązek — mówiła dalej. — Nie można opuszczać winowajcy... zwłaszcza gdy ponosi karę... Pójdę na bulwar Bineau.

— Jak pani chce... To jest kwestya sumienia... Jest pani zupełnie wolną.

I Lewis Jackson, mówiąc to, uścisnął rękę młodej panny. Rozumiał dobrze, jak taka wizyta musi być ciężką dla biednego dziecka i podziwiał siłę jej duszy.

Po krótkim pobycie w pałacu, miliarder wyjechał na miasto, by pozałatwiać różne interesy, których nie mógł przekazać nikomu obcemu. Nie zaniedbywał także swych majątkowych spraw i dnia tego odbywało się w jednym z pałaców przy Champs-Elysées zebranie głównych akcyonaryuszów kolei europejskich i amerykańskich, na którem spodziewano się i jego obecności. Przytem musiał powziąć także ostatnie postanowienia, odnoszące się do od jazdu i ulokowania Maksyma Dureta. Był tem wszystkiem zajęty aż do południa i o tej porze oczekiwał jego przybycia Piotr, by zwolnić się na pewien czas ze stróżowania więźnia.

Skazaniec przez ten czas nie przestawał rozmyślać. Tak już był zniechęcony wszystkimi zawodami, iż nie marzył nawet o jakiejś pomyślnej przyszłości. Pozbył się nadziei zdobycia sobie nowego stanowiska i majątku w Ameryce południowej, do której dwa razy przecięto mu drogę. Nie chciał jednak pod żadnym warunkiem pozostawać żywym czy martwym w rękach swych wrogów. Zdecydowany był na śmierć, nie chciał jednak umierać jako więzień. Za wszelką cenę postanowił wyrwać się z tej celi, by umrzeć gdzie dobrowolnie, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu, grzebiąc wraz z życiem i pamięć po sobie. Lecz wśród tych bolesnych rozmyślań powracało mu ciągle na myśl jedno pytanie: „Jak się stąd wydostać?"

Próbował już krat w oknie. Były one jednak mocne i głęboko wpuszczone w mur. Tył willi wychodził na placu, skąd mogli dostać się złodzieje i dlatego w ten sposób zabezpieczono się przed ich najściem. Już sto razy rozejrzał się dokładnie dokoła, szukając jakiego natchnienia, lecz nie przychodził mu do głowy żaden pomysł. Nagle koło godziny pół do dwunastej podskoczył na krześle. Oczy jego spoczęły na telefonie, wiszącym między lodownią a szafą.

Aparat ten przeznaczony był dla służby. Pan domu dla siebie miał drugi w swym gabinecie. Z tego korzystała kucharka i zamawiała nim produkty spożywcze u dostawców.

— A gdybym spróbował? — szepnął do siebie nędznik. — Kto teraz jest na straży w westibulu?... Jackson?... Smith?... Mniejsza z tem. Wszyscy są jednakowo przekonani, że trudno mnie upilnować... Tak się przyzwyczaili, że ciągle im wyślizguję się z palców, iż nie zdziwiliby się, gdybym wyszedł przez dziurkę od klucza. Próbujmy!...

Podszedł do aparatu. W chwili jednak gdy chciał zadzwonić, cofnął się.

— Ależ oni usłyszą za drzwiami, gdy dzwonek mi odpowie i gdy będę mówił...

Z twarzy jego zniknął odrazu wyraz nadziei, jaka go ożywiała. Po chwili jednak zrobił gest mędrca, który znalazł rozwiązanie jakiego trudnego problemu i puknął się palcem w czoło. Wyszedł zaraz na krzesło i odkręcił dzwonek od aparatu. Potem wziął kołdrę i prześcieradło z materaca, nakrył tem siebie i aparat, zadzwonił i przyłożył słuchawki do uszu.

— *Hallo!* — odpowiedziano mu zaraz ze stacyi.

Maksym Duret okrywając jak najszczelniej głowę i aparat kołdrą, odpowiedział:

— Proszę numer 201 – 04!

Głos jego, tłumiony przez podwójne okrycie, nie dochodził do westibulu.

Minęła chwila. Potem znowu ktoś się odezwał:

— *Hallo!* Kto mówi?

— To pan, panie Radoux? — spytał prezes.

— Ja... Jakto? To pan prezes?... Myślałem, że pan wyjechał!

— Musiałem wrócić z powodu bardzo ważnego interesu. Lecz nie o tem chcę teraz mówić. Muszę pana prosić o pewną przysługę...

— Proszę bardzo, czem mogę służyć panu prezesowi?

— Niech pan sobie wyobrazi, że jestem oblężony...

— Ach! pewnie interesanci z dobroczynności dobijają się do pana.

— Nie... są to nawet najlepsi moi przyjaciele... Piotr Cartelegue i inni. Lecz na żaden sposób nie mogę ich przyjąć... Kazałem im powiedzieć, że mnie niema w domu... a oni usadowili się w westibulu, oczekując mego powrotu.

— Och! do licha! To przykre. W jaki sposób mogę pana wyprowadzić z tego kłopotu?

— W bardzo prosty, przychodząc do mnie. Ma pan wszystkiego trzy minuty drogi.

— I co mam u pana zrobić?

— Powiedzieć im, że pan mnie spotkał na ulicy... na ulicy naprzykład du Marche. Niech pan doda, że powiedziałem, iż nie wrócę przed wieczorem.

— Bardzo dobrze.

— Niech pan wspomni także, iż bardzo się spieszyłem i że siadałem do dorożki...

— Chętnie! Zaraz idę!

— Dziękuję z góry!

— Niema za co. Ale... wizyta moja może się wydać nienaturalną. Po co przychodzę, jeżeli przed chwilą pana widziałem?

— Uda pan, że przychodzi po parasol, zostawiony poprzedniego dnia.

— Doskonale! Już idę!

Prezes zawiesił słuchawki, złożył z powrotem na materacu kołdrę i prześcieradło i podszedł do drzwi prowadzących do westibulu. Drżał cały z niepokoju, czy wszystko tak się stanie, jak sobie ułożył.

Wkrótce rozległ się głos dzwonka u drzwi wchodowych. Niepokój Maksyma Dureta doszedł do kulminacyjnego punktu. Twarz jego okryła się potem. Słychać było na korytarzu czyjeś kroki. To Joe Smith poszedł zobaczyć kto dzwoni.

— To pan Radoux! — rzekł po chwili.

— Trzeba przekonać się, czego chce — odpowiedział Piotr.

Amerykanin wyszedł otworzyć furtkę od ogródka.

— Jak się pan ma? — zawołał notaryusz z uśmiechem. — Co za szczęśliwe spotkanie! Lecz dlaczego to pan otwiera drzwi?

— Niema służącego — odrzekł Joe Smith, nie dając innego wyjaśnienia. — *Well!* Czego pan sobie życzy?

— Przyszedłem po parasol... którego tu zapomniałem.

— Ach! *Well!* Niech go pan weźmie...

I przechodząc przez ogródek, skierowali się do westibulu.

— Czeka pan na prezesa? — spytał notaryusz.

— Tak — odpowiedział lakonicznie Jankes.

— Nie wróci on jednak przed wieczorem!

— Przed wieczorem? — powtórzył zdumiony Smith.

— Tak, powiedział mi to przed chwilą!

— On to panu powiedział?

— Dopiero co.. Tu blisko... Na ulicy Marche... Tam go spotkałem. Wchodził do dorożki... Mówił, że bardzo mu się śpieszy...

Smith, który podchodził już do drzwi, stanął osłupiały. Rękami schwycił się za szyję, na której nabrzmiały mu żyły. Zdawało mu się, że jakiś niewidzialny krawat go dusi.

Nagle oprzytomniał i krzyknął głośno:

— Prędko! uciekł! jest już daleko!

Piotr jednym susem wyskoczył z westibulu.

Notaryusz przestraszony cofał się przed nim na bok.

— Radoux widział go przed chwilą na ulicy Marche! — wołał ochrypłym głosem. — Gdzie ona jest?

— Ja wiem! — zawołał Piotr i puścił się naprzód.

Sekretarz Lewisa Jacksona pobiegł za nim. Wskoczyli razem do samochodu, który czekał przed willą na króla stu dwudziestu koni i z miejsca ruszyli pędem.

Notaryusz stał nieruchomo z otwartemi ustami, nie wiedząc, co to wszystko znaczy.

Nagle usłyszał głos Maksyma Dureta. Prezes walił pięściami w drzwi i wołał go:

— Niech pan idzie prędzej!

Pan Radoux usłuchał wezwania.

— Tędy! — rozkazywał pan domu. Jestem w spiżarni. Niech pan otworzy kluczem!

Notaryusz na pół przytomny podszedł do drzwi i odkręcił klucz.

Maksym Duret wybiegł tak szybko, iż omal nie przewrócił swego zbawcy.

— Ależ, panie prezesie, co... co to... znaczy?...

Więzień jednak nie odpowiadał, lecz wybiegł do ogródka. W dwie sekundy był już na chodniku na bulwarze Bineau. Dorożka samochodowa, która stała tam, gdy wychodził Jackson, jeszcze nie odjechała. Szofer nie skończył jeszcze czytania swej gazety.

— Jestem wolny...

Maksym Duret podbiegł już do dorożki, której usłużny szofer zeskoczył ze swego miejsca, by otworzyć mu drzwiczki, gdy nagle prezes stanął jak wryty. Przed willę zajechał drugi samochód, z którego wychodziła Kamilla i Maurycy de Terrade.

Młoda panna i inżynier również stanęli zdumieni. Spojrzenia ich skrzyżowały się.

Nędznik jednak odwrócił zaraz głowę i siadł do samochodu.

— Dokąd mam jechać? — spytał szofer.

— Do... Saint Denis — odpowiedział na chybił trafił prezes, pragnąc jak najprędzej oddalić się od swego więzienia.

Dorożka zaraz ruszyła.

Kamilla wsparła się na ramieniu Maurycego.

— On ucieka? — szepnęła.

— Tak i mnie się zdaje — odrzekł Maurycy. — Jak mu się to udało?...

— Niech pan odeśle nasz samochód. — Szofer widział jego ucieczkę. Mogą go wypytywać.

Maurycy tak blady jak i młoda panna, spełnił jej prośbę. Ledwie samochód ich odjechał, gdy zaraz nadjechali Piotr i Smith i rzucili się do willi.

Maurycy i Kamilla usłyszeli krzyki w willi. To niefortunni dozorcy stwierdzali zniknięcie swego więźnia i żądali wyjaśnień od pana Radoux.

— Pan skłamał! — wołał Piotr. — Pan nie mógł widzieć, jak Duret siada do dorożki na ulicy Marché... Ulica ta jest zagrodzona z obu końców. Poprawiają na niej bruk...

— Pan skłamał! — powtarzał Joe Smith. — To pan otworzył mu drzwi!

Notaryusz zmieszany milczał, trzęsąc się na swych chudych nogach.

Piotr i Smith naraz odwrócili się od niego i wybiegli na bulwar do Kamilli i Maurycego.

— Wyście tu byli, gdy on uciekał? — zapytał król stu dwudziestu koni.

— Nie... — odpowiedziała młoda panna.

— Jakto, nie!? Owszem! Widzę to po waszych twarzach! Ach! on przeszedł koło was... i nawet nie próbowaliście go zatrzymać, prawda?

Piotr brutalnym tonem mówił to do inżyniera, który jednak nic nie odpowiadał. Zaciekawieni przechodnie zatrzymywali się koło nich.

Młody człowiek na tyle jeszcze panował nad sobą, iż spostrzegł, że chodnik bulwarowy nie jest miejscem odpowiednim do takich rozmów. Pociągnął też wszystkich za sobą z ulicy do domu.

— Mogę w ostateczności wytłómaczyć sobie to — mówił dalej podniesionym głosem z ręką na ramieniu Maurycego — żeście go nie zatrzymali... Dobrze!... Lecz powiedzcie mi, w którą stronę uciekł? Siadł do dorożki?...

Inżynier spoglądał w milczeniu na Kamillę.

Młoda panna stała z opuszczoną głową.

— *Hallo!* — wołał teraz Joe Smith. — Niech pan mówi! Prędko! Każda sekunda jest dla nas droga! On coraz dalej przez ten czas ucieka!

— Jeszcze nie dojechaliśmy tutaj, gdy... — zaczął wreszcie mówić Maurycy.

— Owszem! — przerwał mu znowu Piotr Cartelegue. — Byliście tutaj! Powtarzam wam, że widać to po waszych minach! Błagam was, powiedzcie, w którą stronę uciekł...

Młody człowiek zmienił teraz ton. Głos jego stał się teraz błagalnym. Ruchy jednak jego były jeszcze gwałtowne... ścisnął mocno ramię inżyniera i potrząsnął niem.

— Piotrze — szepnęła omdlewającym głosem Kamilla. — Łaski...

Piotr zwrócił się teraz do nieszczęśliwej panny.

— On nie chce mówić tylko przez ciebie... Pozwól mu mówić. Niech on nic nie ukrywa...

— Ależ ja nie mogę tego zrobić! — odparła młoda panna. — Przysięgam ci na wszystko w świecie, żem mu nie pomagała do ucieczki... Nie mogę jednak pomagać teraz do schwytania go! Och! nie! nie żądaj tego!

— Wiesz jednak, że jest on najgorszy z nędzników!

— Jest to jednak mój dziadek! Kochałam go bardzo... On pewnie i teraz jeszcze mnie kocha... Przyjechałam, by go zobaczyć po raz ostatni w życiu... Nie mogę dopuścić, by moja wizyta miała być przyczyną jego zguby... Ani ja, ani ten, który mi towarzyszy, nie możemy przecież zdradzić go...

Piotr puścił ramię Maurycego. Spacerował teraz wielkimi krokami po westibulu, załamując ręce.

— Moja biedna Ludwika jest obłąkana — mówił, nie zwracając się do nikogo. — Może umrzeć przed odzyskaniem przytomności... Serce moje, życie moje jest złamane... a ten zbrodniarz nie zostanie nawet ukarany... Och!...

Pan Ridoux asystował przy tej scenie, wciśnięty w kąt westibulu. Niczego nie mógł jeszcze się domyśleć. Nie śmiał ani ruszyć się, ani odezwać. Nogi drżały pod nim coraz więcej.

Piotr zatrzymał się znowu przed Kamillą i zawołał:

— Nie miałem innej pociechy, jak tylko zemstę... Teraz i jej nie mam... Dobrze! Lecz przeklinam ciebie i całą twą rodzinę...

Maurycy postanowił teraz koniec położyć tej scenie.

— Piotrze! Jesteś chyba nieprzytomny; będziesz tego żałował...

— Cicho bądź! — przerwał mu młody człowiek. — I ciebie nienawidzę! Dzięki wam obojgu bandyta zdołał uciec i uniknąć kary, na jaką tysiąc razy zasłużył... słyszysz Kamillo, tysiąc razy... Dziadek twój jest nie tylko zwyczajnym oszustem, jak myślisz. Jest on także najpodlejszym ze zbrodniarzy. Zbrodniarzem, którego bronią jest trucizna. Otruł nas przed kilku dniami, mnie, Jacksona i Smitha... Dzięki cudowi tylko uniknęliśmy śmierci.

Kamilla spojrzała na niego wzrokiem pełnym bólu, potem bez czucia usunęła się na ziemię. Maurycy podbiegł do niej, schwycił ją na ręce i wyniósł z domu.

Na widok zemdlonej swej dawnej przyjaciółki, Piotr zamilkł. Gniew, jaki nim miotał, zamienił się teraz w głęboki żal.

Wyszedł w milczeniu za inżynierem. Maurycy zawołał na przejeżdżającego dorożkarza i wniósł do dorożki młodą pannę. Potem siadł koło niej i zamknął drzwiczki, nie patrząc wcale na Piotra. Dorożka zaraz odjechała.

— Jestem dzikim brutalem! — rzekł Piotr do Smitha, gdy wrócił z powrotem do willi.

— Przedewszystkiem jesteśmy obaj głupcami — odpowiedział Jankes. — Co na to powie Jackson?

Piotr nagle zobaczył notaryusza, który stał skurczony w rogu westibulu.

— Pan jeszcze tutaj? — zawołał do niego, przyjmując znowu groźny ton. — Dalej w nogi! A niech pan nigdy nie znajdzie się na mej drodze!

— Ani na mojej! — dodał Smith.

Pan Ridoux przecisnął się z opuszczoną głową koło ściany, dotarł do drzwi i znikł szybko za niemi.

— Co teraz mamy robić? — zapytał Amerykanin.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożyła B. Rutkowska, Piotrków.

Kwadraty i kreski zastąpione odpowiednio literami utworzą szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nam imię i nazwisko współczesnej autorki dramatycznej i powieściopisarki.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— — □ — —
— □ —
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — — — □ — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1 Spółgłoska 2 Przyrząd rybołowczy. 3. Kraina w Azyi środkowej 4. Zagraniczny pieniądz 5. Komedya Gawalewicza. 6 Stan podobny do śmierci. 7. Opera Moniuszki 8. Ptak. 9. Imię żeńskie. 10. Rzeka w Niemczech 11. Zwierzę drapieżne. 12 Instrument muzyczny. 13 Miasteczko w prowincyi weneckiej 14 Rzeka w Polsce. 15. Drogie kamienie. 16. Jeden z placów w Warszawie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

T y n k, p e r o n, E w y, w o c.

Łamigłówka.

Ułożył K. Kaim, Częstochowa.

Uzupełnić podane wyrazy. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nam nazwisko okoliczności, jaka niedawno dała się porządnie we znaki.

— os
łz —
— ic
— wo
ta —
— do
mu —
kr —
— ór
ro —
— ak
— ga
ma —
— sa
le —
al —
— wa

Arytmogryf.

Ułożył S. Mildwurm, Przemyśl.

Litery wstawione w miejsce kwadratów i liczb utworzą słowa o podanem znaczeniu Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko polskiego poety.

□
1 □ 2
1 3 □ 4 3
3 □ 5
□
1 □ 6
4 3 □ 4 3
7 5 3 □ 5 4 3
4 8 3 □ 9 2 10
6 3 1 □ 5 4 3

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Miejsce zarośnięte drzewami. 3. Powieść Prusa. 4. Przysłówek 5. Spółgłoska. 6. Zwierzę drapieżne. 7. Ptak. 8. Część głowy. 9 Rodzaj wojska polskiego. 10. Pakunek.

Logogryf.

Ułożyli M. L. B. K. z Kramarzówki.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstał szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nam nazwisko polskiego poety. i tytuł jego utworu.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□
— □ —
— — □ —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Okres czasu. 3. Zdrobniałe imię męskie. 4. Imię jednego ze współczesnych panujących. 5. Miejscowość, pamiętna zwycięstwem wojska polskiego. 6. Inaczej ekstrakt. 7. Ptak. 8 Imię żeńskie 9. Spółgłoska. 10. Część twarzy. 11 Drzewo owocowe. 12 Pocisk armatni. 13. Instrument muzyczny. 14. Historyk polski. 15. Bogini 16. Zwierzę drapieżne.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

A t l a s, u d a, N i l, ż a r, z e z, p, i

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Świat w obrazach.** Zbiór fotografii miast, okolic i dzieł sztuki ze wszystkich pięciu części świata.

Z dziedziny kosmetyki.

Odpowiedzi.

M. Z. Jak wyżej zaznaczono, wągryna przygotowana jest specyalnie przeciw czarnym punkcikom na twarzy. W skutkach bardzo dobra, nieszkodliwa i nie drażniąca skóry. Przy stosowaniu wągryny używać najlepiej mydła Dra Krysiewicza.

Nauczycielce. Puder zapytywany jest za tłusty i sinieje na powietrzu, jak to Pani sama zauważyła — zastąpić czysto ryżowym „delicya" — koloru naturel, gdy go się porówna z innymi, można swierdzić olbrzymią różnicę. Kapelusz kompletnie wyczyści słomin — wyrobu krajowego.

H. R., Kraków. Na wybielenie szyi proszę użyć kremu precioza. Na opierzchanie rąk i twarzy jest wiele środków zaradczych. Najskuteczniejszym i najwięcej używanym pewnie zawsze pozostanie „borol" Centralnego Laborat. w Warszawie.

Wszystkie środki kosmetyczne zalecane w tygodnikach i pismach fachowych warszawskich otrzymać można we Lwowie, ul. Akademicka L. 21 w magazynie kosmetyczno-perfumeryjnym E. Pawłowskiego.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.